Nr. 21. Lwów, Niedziela dnia 28. Stycznia 1877 r. **Tom IV.**



ROK IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XXI.

PRAWA AUTORSKIE.

I. Ze wszystkich praw na świecie, prawo tak zwanej „własności literackiej“ jest najmłodsze, a jako nie mogące oprzeć się ani na tradycji, ani na długotrwałym zwyczaju — rodzi tysiące sprzecznych zdań i poglądów, mnóstwo nieporozumień i sporów. Dalecy od podawania historycznego rozwoju tego prawa, starać się będziemy w szeregu niewielu artykułów, dać ogólny pogląd na prawa autorskie, wykazać wszystkie sprzeczności które w niem zachodzą, i zaznaczyć wyjątkowe stanowisko, jakie w obec tego prawa my Polacy zajmujemy. Rozpatrzemy dalej dodatnie i ujemne jego strony — aż ostatni wynik naszych badań da nam poznać moralny, lub też wręcz przeciwny wpływ tego prawa na ogół społeczeństwa.

Nie bez przyczyny bierzemy pióro do ręki, aby pomówić w tym przedmiocie. Asumpt do tego daje nam żwawa utarczka, tocząca się w szpaltach naszego dziennikarstwa pomiędzy p. A. D. Bartoszewiczem właścicielem księgarni Polskiej z jednej, a p. Władysławem Mickiewiczem z drugiej strony, — o przedrukowanie kilku ćwiartek wiersza Adama Mickiewicza p. t. „Warcaby.“ Ponieważ sprawa ta, jak już wspomnieliśmy, była dla nas głównym powodem do rozpatrzenia się tak w stosunkach, jak i w samem prawie literackiem — pozwolą czytelnicy, że o niej przedewszystkiem parę słów wspomnieć jesteśmy obowiązani.

Lat temu trzy, właściciel księgarni Polskiej ogłosił prospektami wydanie „Warcab“ Mickiewicza — wraz z „Szachami“ Kochanowskiego, w swojej „Bibliotece Mrówki“, która ma na celu popularyzowanie arcydzieł naszej literatury, i uczynienie ich przystępnemi dla najmniej nawet zamożnych czytelników.

Prospekt ów został rozrzucony po kraju w dwudziestu tysiącach egzemplarzy, a przeto i zamiar p. Bartoszewicza stał się głośnym publicznie. Zanim jednak do spełnienia tego zamiaru przyszło, upłynęło lat trzy; przez tak długi przeciąg czasu spadkobiercy nazwiska Mickiewicza nie mieli nic przeciw temu, gdy nagle w tydzień po wyjściu z prasy wiersza „Warcaby“ reklamują jego wydanie — i to reklamują w sposób, w wysokim stopniu krzywdzą cy poczciwą i zacną działalność wydawcy „Bibljoteki Mrówki.“

Jakże pogodzić ze sobą trzyletnie poprzednie milczenie — z nagłym wyskokiem zarzutu piractwa literackiego, które bez poprzedniego wyjaśnienia sprawy p. Władysław Mickiewicz zarzucił panu Bartoszewiczowi? Jestże w tem zła wola, czy też niezrozumienie stanowiska, na którem wobec ogółu polskiego stoją czasowi właściciele pism Mickiewicza.

Zdaje nam się, że to drugie, gdyż trudno przypuścić, aby zła wola kierowała zarzutem, na czele którego jaśniało między innemi świetne imię Bogdana Zaleskiego.

Ale jak każdy zbytek gorliwości rodzi przesadę, tak i zbytnie zastrzeganie praw swoich przeradza się w śmieszność. „Noli me tangere,“ zdaje się być zasadą tego, któremu prosty przypadek dał w rękę moc prawa obowiązującego moralnie, bo w zasadzie swojej, innej — jak często moralnej nie ma ono podstawy. Ktoś gotów nam odpowiedzieć, że każde prawo opiera się tylko na moralnych podstawach; prawda — ale ma za sobą jeszcze uświęcony obyczaj, tradycję wieków, stosuje się do uświęconych zwyczajów narodu, świadkiem czego jest rozmaitość praw u różnych narodów. Tego zaś „prawo autorskie“ jako najświeższej daty, nie posiada wcale, i długi jeszcze przeciąg czasu upłynie, zanim wyrobi się tak, jak w ogólnem prawie narodów — ogólne poczucie i potrzeba prawa literackiego.

Każde prawo, wyjąwszy ukazy carskie, ma moc obowiązującą *ciągłą*, tymczasem prawo literackie, a raczej autorskie ma tylko moc obowiązującą *czasową* tj. taką, która po pewnym przeciągu czasu cofniętą i unieważnioną być może. Testator, zostawiający spadkobiercom swoim spuściznę w ziemi lub też gotówce, jest pewny, że takowa zostanie na zawsze w ich rękach, że im jej nie wydrą ani zaprzeczą, gdy tymczasem autor, zostawujący rodzinie swej spuściznę literacką, jest pewny, że po przeciągu pewnego czasu własność ta przestanie być ich dziedziczną własnością, że im zostanie zaprzeczoną, odjętą - i pójdzie na korzyść ogółu.

W samem więc prawie jakie anomalja.

Jeśli więc prawodawcy nie umieli ubezpieczyć praw do własności literackiej, nie dziw, że ogół jeszcze błędniejsze ma o niem przekonanie.

O tych sprzecznościach pomówimy przeto w następującym artykule.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Byłaby śpiewała te pochwały do nieskończoności, gdyby niecierpliwy Achinger jej nie przerwał.

— Ale ja nie chcę ją uczynić nieszczęśliwą, ani przymuszać, ani patrzeć na łzy, ani obojgu nieszczęścia przysporzyć... pierwsza rzecz, że ona musi na to pozwolić sama.

— Cyt że... cicho, — oglądając się do koła, rzekła matka — to mnie zostawcie, dajcie mi tydzionek czasu, a już się nie frasujcie, ja to sama zrobię. — I pocałowała go w rękę. — Ale słuchaj panie wielmożny — dodała — nie róbcież mnie i jej nieszczęśliwą. Jeżeli macie tę wolę postanowioną, ja pewnie się jej sprzeciwiać nie będę, bo wiem że dziecko tego szczęścia warte; ale jeśli byście się mieli rozmyśleć i zerwać, a ją słomianą wdową zostawić, żeby potem ludzie się z nas śmieli, a ja dla niej męża przepłacała...

Uklękła stara przed nim ze złożonemi rękami:

— Nie zaczynajcież lepiej niżelibyście zwodzić mieli...

— Byle ona chciała, przysięgam wam, że to moje niezmienne postanowienie — zawołał Achinger. — Słowo się wyrzekło, a słowo szlacheckie święte.

— No, toć wierzę, — odparła znowu całując go w rękę Maciejowa, przez trzy dni jegomościuniu, posłuchajcie mnie, nie zaglądajcie do nas, potem sobie przychodźcie, to ją tu zastaniecie przy mnie, na pogawędę, aby się dziecko oswoiło, a reszta to już moja rzecz; pokryjomu żadnych starań nie róbcie bo...

Na te słowa Rózia weszła niespodzianie, Maciejowa mrugnęła na Achingera, urwała, kazała córce pocałować go w rękę, poczem dziedzic wstał, pożegnał się i wyszedł.

Ale wejrzawszy teraz na dziewczynę, z tą myślą, że ona ma być jego, mało nie oszalał... wydała mu się taką, jaką była w tej chwili, cudnie piękną; porównywał ją z temi dziewczętami o które sie starał, wyobrażał sobie jak ją przystroi, jak ona w pańskich sukienkach wyglądać będzie, jak mu jej będą zazdrościć, jak tryumfować będzie, dostawszy ten świeży pączek różany. Zeby jeszcze była szlachcianką, no! ale na to już nie ma rady!

Tak go nieboraka, gdy do domu powrócił, język świerzbiał, iż przed gumiennym zaufanym doradcą, z kluczami wieczorem przybywającym po dyspozycję, nie wytrwał, i wypaplał się zaraz.

Gumienny ów była to już kapotowa figura, pół szlachcica, wyga stary, a miał Julkę córeczkę nieszpetną, którą sobie dawno w myśli z panem był poswatał; niezmiernie go to zmięszało, gdy się pan począł z Rózią chwalić.

— Ej, wielmożny panie — rzekł — jak tam wola pańska, ale choć Maciejowa teraz porządna kobieta, nic powiedzieć nie można, przecież o jej młodości różnie tam ludzie gadali, a nie daleko pada jabłko od jabłoni. Piękne to cacko, ale tem ci gorzej, a pieszczone, a wyrachowane...

Nie przekonał t m Achingera gumienny, ale po wsi rozpaplał niepotrzebnie, a kując żelazo, córkę niby dla pomocy klucznicy wystroiwszy, podesłał do dworu. Julce daleko było do Rózi, Achinger na nią ani spojrzał. Wieczorem Maciejowa przybiegła po cichu z żalem do pana, że rzecz rozniosła się, że córka przed czasem dowiedziała się, i prosiła, żeby przez tydzień noga jego w chacie nie postała. Domyślił się Achinger kto mu tej kaszy nawarzył, zamilkł, nie wypędzał natrętnej Julki ze dworu, nawet się i ludziom i klucznicy zdawało, że na nią począł patrzeć dosyć względnem okiem, ale nadzieje zawiodły. W tydzień przyszła dać znać Maciejowa, że córka przygotowana i że dziedzic przyjść może. Achinger poleciał. Znalazł ją przy krosienkach dość wesołą, śmiejącą się i choć nieśmiałą, ale swobodnego umysłu. Nie zważając na matkę począł się przysiadać, mówić, nawrócił rozmowę jak było potrzeba, obudził miłość własną, a za trzecią bytnością zaręczynne pierścionki zamieniono przy proboszczu bez głośnego płaczu. Gruchnęła też po sąsiedztwie wieść jak piorun, że Achinger się żeni z chłopką, ale on się wcale tego nie wypierał. Gdy przyszło do ślubu jechać, kościół był pełniuteńki, ludzie aż się dusili: wieśniacy, szlachta, ciekawych tłumy. Szlachcic umyślnie ten raz pozwolił się nazeczonej przybrać po chłopsku, sam wdział paradny strój i spinkę i guzy z drogich kamieni i pas złotolity, a wystąpił poszóstno. — znaj pana — była i kareta. Maciejowa, która córce towarzyszyła, wydobyła z kufra węzełek i nie pożałowała sto talarów dać za swoje ubranie, a dęła się jak wojewodzina.

Do oryginalności tego wesela należało, że drużkami były dziewczęta wiejskie, a drużbami Achingera dwóch szlachty, ubogich prawda ale herbownych. Ale z kościoła do dworu na wesele mało kto pojechał prócz czynszowych, a z kobiet ledwie kilka; ze wsi były tylko drużki i Maciejowa.

Sprowadzono jednak skrzypki i tany miały się rozpocząć, gdy nagle zaczęto krzyczeć: „gore!“ W istocie palił się dwór od węgla podłożony, szczęściem, że wcześnie pożar postrzeżono i ugaszono go zaraz, ale to zmięszało wesele, popłoch rzuciło i dużo zajęło czasu, tak że po wieczerzy już się wszyscy rozjechali.

Chodziły głuche wieści, jakoby owa Julka, która z niewiadomych powodów miała się za zdradzoną, ogień ten podłożyła. W kilka dni też gumienny się gdzieś z całą rodziną cichaczem wyprowadził.

Tak się rozpoczął żywot małżonki Achingera. Maciejowa wcześnie sobie wymówiła, że przy córce mieszkać będzie, a do gości nie wyjdzie; wyniosła się więc do dworu, i jej był winien mąż, iż piękna Rózia pogodziła się ze swym losem, który nie był w istocie do zazdrości.

Maciejowa była niewiasta wytrawna i rozsądna. Nieszczęściem nie była nieśmiertelną, a lubiła węgorze, po którym napiwszy się wody, dostała gorączki i umarła. Rózię ledwie oderwano od jej ciała, tak srogim żalem była zdjętą; czuła ona, że bez matki sierotą samą biedną będzie na świecie. Achinger sprawił pogrzeb wspaniały, gromady ze wszystkich wsi sąsiednich zeszły się na stypę... ale od tych dni żałoby i w życiu i w domu małżeństwo wielce się zmieniło. Małżonek trochę się lękał matki, szanował ją mimowolnie, słuchał chętnie, córka też miała w niej doradcę i przyjaciela: dopiero po śmierci Maciejowej okazało się, jak ona była potrzebną na świecie.

Rózia posmutniała, tęsknota jakaś chmurna, dziwna owładła nią, całe dnie siadywała w oknie słuchając pieśni wiejskich, gwaru wioski. Mąż znajdywał ją często płaczącą, chciał ją wprowadzić w szlacheckie towarzystwo, ale tu ją i jego karmiono tak gorzko, że wytrwać nie mogli. Nie miała więc Rózia nikogo, a że Achinger nie był zabawny, zgryźliwy, nudziarz i gdera, życie się wlokło ciężko, łzami oblewane.

Nie kłócili się, bo Rózia na to nie miała odwagi, wolała się wypłakać, ale mąż za łzy gderał, za wesele łajał, nic mu się nie podobało; spokoju nie dał, musztrował, często słowem nierozważnem obraził: był nieznośny. Żona jedyny ratunek widziała w milczeniu, tak ją nauczyła matka, nie odpowiadała nic, a pokora ta zamiast rozbroić jątrzyła dziwaka; wkrótce te potoki słów, które na nieszczęśliwą wylewał ofiarę, jak po skale zaczęły spływać po odrętwiałej kobiecie. Myślą, sercem, tęsknotą uciekała od tego cierpienia, broniąc mu się obojętnością rozpaczliwą. Mąż krzyczał, milczała; gniewał się, uśmiechała; groził, nie uważała; ale koniec końcem musiały się tą walką niecierpliwą siły jej wyczerpać. Od niemożliwego życia zewnętrznego, Rózia schroniła się w głąb duszy, zamykała się z krosienkami w pokoiku i tam albo płakała, albo śpiewała tęskno, albo dumała tak, że czasem ją zszedł Achinger i musiał po grubijańsku huknąć nad uchem, aby ją z tego snu na jawie przebudzić.

I w tem skorzystała z nauk matki pani Achingerowa, że jakkolwiek źle jej było w domu, starała się ukrywać cierpienie, aby się obcym ludziom nie podawać na szyderstwo. Przy gościach była prawie wesołą, a łez jej nikt nie widział, nawet dziewczynka służąca.

Z tęsknotą w początkach nieokreśloną, bezcelną, później połączyło się przypomnienie lat młodych, tęsknot dawnych do wiejskiego, chłopskiego prostego żywota. Teraz się jej wydawało jeszcze w kraśniejszych barwach, po spróbowaniu innego.

Ale mąż jak najsurowiej zakazał był raz na zawsze wszelkich zwrotów do tej przeszłości, nie wolno było chodzić w sukience dawnej, ani pobiedz w pole, ani nawet własnemi rękami coś zrobić w ogródku, musiała być panią! zawsze panią...

Obrzydło jej to państwo ciężkie jak kajdany, a gdy w czasie dożynek zdejmowała wieniec z głowy dziewczęcia, serce jej biło do szarych koszul, do sukmanek ciemnych, jak do szczęścia marzonego. Czasem zamknąwszy się na klucz, wdziewała strój swój młody, który głęboko schowany był na dnie kufra, i przeglądając się w zwierciedle płakała.

Ta odzież była jej skarbem, najdroższą z pamiątek, namilszą zabawą, ale najstraszniejszą z tajemnic... Gdyby się mąż domyślił, dowiedział się o sukmance i fartuszku, o koralach i trzewikach, byłby je pewnie popalił. To też zamknięte to było jak najdroższa materja, a ukryte na samym spodzie.

Kiedy los z sobą skuje takich istot dwoje, nie stworzonych dla siebie, a zbliżonych na to tylko, aby wzajemną żarły się męczarnią, jeśli fatalność jeszcze je osamotni, odsunie od ludzi, rzuci wśród życia próżniaczego na przeżuwanie wszystkich godzin z jedną przyprawą trucizny... albo ten łańcuch, co łączy nieszczęśliwych, zerwać się musi, lub skóra którą ociera stwardnieje jak żelazo.

Łatwo jest przecierpieć burzę gwałtowną kilku godzin, ale przenikającą słotę kilku miesięcy, lat kilku pod ołowianem niebem, na którem nigdy nie widać słońca? Rózia w odrętwieniu swem miała oręż dany jej przez Opatrzność przeciwko cierpieniu, wychodząc uzbrajała się w niezmożony chłód i odwagę, traciła czucie, myśl, prawie przytomność, a dopiero w chwili spoczynku i samotności rozmarzały jej łzy i płynęły swobodnie; nikt ich nie widział, Bóg liczył.

Pojąć łatwo jej życie, w które nawet żadna namiętność nie wrzuciła ognia, coby zakłócił je, ale pożreć mógł prędzej.

Śpiewała, gdy jej nikt nie słuchał, o miłym, słowami wiejskich dziewcząt, ale ten miłeńki był dla niej z mgły i chmur postacią. Wyobrażała go sobie różnie: raz rycerzem jasnowłosym, to znów rolnikiem spokojnym, to poważnym, łagodnym, rozumnym, a umiejącym kochać i upieścić mężczyzną.

Wśród tych długich chwil, które jej zostawały wolnemi od obowiązków, zresztą bardzo nie ciężkich na pozór, choć dręczących w istocie, posłużyła jej wiele umiejętność czytania, którą winna była matce. Było to więcej jedną po niej pamiątką. Z początku nie wiedziała nawet, że inna książka istnieć mogła nad tę, na której się do Boga modlono; przypadek dał jej w ręce kilka innych. A stało się to w wcale niespodziany sposób.

W sąsiedztwie pana Achingera i Barcińskich była majętność pańska, Chwalewo, od bardzo dawna opuszczona i chodząca z rąk do rąk dzierżawców. Dziedzic mieszkał w Warszawie i żył na bardzo wielkim świecie, nosił on imię sławne, ale go nie bardzo szanował.

Znano go naówczas w Koronie całej i za granicą pod nazwiskiem Krajczyca, gdyż ojciec jego piastował urząd krajczego koronnego czy litewskiego; syn zaś wcale ani do dworu, ani do służby krajowej się nie kwapił, i innego tytułu nie miał. Jednak u ojca, wychowany na pół po francusku, pan znacznej fortuny i pięknego imienia, Krajczyc wiedział tylko jedno z dziecinnych lat: że przyszedł na świat aby używał. Wiedział i o tem, iż były inne klasy ludzi, stworzone do pracy, do nędzy, do upokorzenia, jak woły do orania, a konie do noszenia jeźdźców; ale jego posłannictwo ograniczało się do tego, by być miłym, łagodnym, szczęśliwym i bogatym. To mu już Pan Bóg w kolebce przyrzekł i powinien był dotrzymać, nie było mowy... Z tem przekonaniem idzie się lekko po świecie, z zupełnem bezpieczeństwem, że się człowiekowi nic stać nie może... nie troszczy się o grosz, o popełnione głupstwa, o szwanki na sławie, do Pana Boga należy to naprawiać i dostarczyć, co fantazje pańskie wymagać mogą. Krajczyc też zrozumiał zadanie swego życia wybornie i używał go wspaniale.

Ale zdaje się, że w rachunkach Opatrzności zaszły jakieś omyłki; fortuna poczynała niedopisywać, humor się popsuł, zawód doznany przykro się czuć dawał... Krajczyc czuł się nadewszystko obrażonym tą niesłownością losu, który przecie powinien się by znać na swoich obowiązkach.

Ale nie mógł znowu dla takich bzdurstw wstrzymywać tryumfalnego pochodu; nadrujnowany, robił długi śmiało i szedł dalej. Miał obrachowanych w najgorszym razie siedm ogromnych sukcesyj do wzięcia. Żył więc godnie, jak panu takiego imienia przystało.

Za młodu pokwapił się był ożenić, ale w półtora roku się rozwiódł: pierwsza żona jego wyszła w trzy miesiące za mąż i potem już tylko parę razy się rozwodziła; Krajczyc więcej się nie żenił. Miał tej pierwszej próby dosyć. Tak mu zeszło do lat czterdziestu kilku w swobodnej lataninie po kwiatach... Ale starsze motyle łatwo się złapać dają; dziwnym trafem rozwódka i wdowa, osoba dojrzała, choć przy świecach wyglądała na młodziuchną, tak usidlała Krajczyca, że się z nią ożenił. A że pani ta i z pochodzenia i z powszechnej opinji, i z fortuny wątpliwej, nie zdawała się rodzinie Krajczyca stosowną dla niego partją, wszyscy się od niego odsunęli, on z gniewu postanowił jak Achilles zamknąć się w namiocie, wyjechać na wieś. Nagle kazano stary dwór zrestaurować, i Krajczyc z żoną przybył w zapadłe okolice Chełma.

Krajczycowa była wychowanką wieku XVIII, w ścisłejszem znaczeniu tego wyrazu, samo się więc przez się rozumie, że wszystkie ideały stanu natury, niewinności błogiej, złotego wieku pastuszego, gdy piękne panie, mając u stóp ufryzowanego pasterza w złocistych falbanach, gnały na paszę baranki różowemi wstążeczkami pozaplatane, były najulubieńsze Krajczycowej.

Proszę sobie wyobrazić, gdy znudzona posłyszała o prześlicznej chłopce zaślubionej przez Achingera i wziętej z tego stanu natury... co się z nią dziać musiało, dopóki jej nie poznała! Heloiza (było to imię pani) postanowiwszy sobie, dla rozrywki wśród wiejskiej samotności, czynić studja nad kobietą ze stanu natury, jej sercem i uczuciami, tak się do tego wzięła zręcznie, że zapoznała się z Achingerami i wciągnęła Rózię do siebie. Ale w bardzo prędkim czasie zrodził się niesmak i obawa. Krajczyc bowiem zobaczywszy panią Achingerowę, dawnym swym obyczajem śmiertelnie się w niej rozkochał. Starał się ukryć przed żoną ten kaprys, jak go nazywał, ale oczy kobiety są w takim razie nieomylne. Heloiza się ulękła; bliższe jednak poznanie bohaterki natchnęło ją odwagą, przekonała się bowiem, że Rózia nie jest wcale zalotną, i nie ma najmniejszej ochoty żeglowania po *fleure du tendre*. (C. d. n.)

Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

Józef Tretiak.

(*Ciąg dalszy*).

IV.

1793—1825.

(Karpiński na sejmie grodzieńskim. Dostaje kolonję Kraśnik. Nowy tryb życia. Pieśni religijne. Stosunek z Repninem. Widzenie się z detronizowanym królem. Sprowadza rodzinę do Kraśnika. Starość i śmierć.)

Na tem się skończyły zabiegi Karpińskiego o łaskę królewską. Odtąd przeszło pięćdziesięcioletni poeta zaczął liczyć tylko na własne siły i na własną pracę, i niebawem mógł zauważyć, ileby wygrał, gdyby był wcześniej wstąpił na tę drogę.

Po rozstaniu się z Radziwiłłem pojechał do Grodna, gdzie się zbierał wówczas sejm, co miał zezwolić na drugi rozbiór Polski*). Własnemi oczyma patrzał na zbrodnię, której się dopuszczali płatni przez Rossję posłowie, na równą zbrodni małoduszność króla, i na szlachetne, ale daremne usiłowania kilku ludzi, aby ocalić jeżeli nie naród od klęski, to sejm od hańby. Krajało się serce poety na ten widok, a jakaż była boleść jego, gdy widział, jak ci sami ludzie, co zgubę ojczyzny zatwierdzili, jakby po dokonaniu świetnego czynu, zaczęli się oddawać najhuczniejszym zabawom. Zaraz po podpisaniu podziałowego traktatu, Puławski, zastępca marszałka konfederacji targowickiej, dawał bal w Grodnie. W mieszkaniu, przylegającem do sali, gdzie całą noc tańczono, nocował Karpiński. „Oni tam śpiewali, tańczyli, a ja to słysząc płakałem.“

Do wstąpienia na nową drogę dopomógł Karpińskiemu Badeni, którego w ogóle możnaby nazwać dobrym duchem poety. Nie pytając go wcale, wyrobił mu u króla jeszcze 1791 r. przywilej na kolonję, tj. na pusty obszar wyrąbanego lasu, mający 20 włók przestrzeni, a leżący w ówczesnem brzeskiem województwie koło białowiejskiej puszczy. Rozdawano wówczas w królewszczyznach takie obszary każdemu, kto chciał, nie było to więc łaską ze strony króla, który nawet nie wiedział o tem, że podpisał przywilej dla Karpińskiego. Po upływie lat 50 kolonja miała powrócić do skarbu królewskiego. Do tej to kolonji pojechał nasz poeta po zamknięciu sejmu grodzieńskiego, i tu postanowił pracować w pocie czoła, nie oglądając się na niczyją łaskę. Zbudował sobie domek ubogi, ale wygodny, i inne zabudowania. „Do dziś dnia — pisze Kraszewski*) — skromny jego drewniany domek stoi niedaleko od drogi. Dwa ganki z daszkami, dwoje drzwi, żadnego okna od dziedzińca — oto powierzchowna jego postać; za nim gęsty las jodeł, w około wytrzebione pola ocienione lasami, las, las i las na wszystkie strony.“ Wtedy jeszcze pola nie były wytrzebione, i Karpiński zabrał się do karczowania gruntu z całą energją człowieka, który spóźnił się w życiu do statecznej pracy, a poczuł jej nieodzowną potrzebę. Najmował do roboty okolicznych wieśniaków, ale nie poprzestał na ich doglądaniu, i sam z motyką i rydlem stanąwszy do pracy, własnemi rękami wytrzebił kilka morgów. Podziwiali go pracujący przy nim wieśniacy; pierwszy raz widzieli pana, który nie wstydził się sam pracować nad rolą i pracować razem z nimi, i tem chętniejsi i gorliwsi byli w robocie. Poczuł też zaraz Karpiński dobroczynne skutki pracowitego i niezależnego życia, humor mu się poprawił, miał sen smaczniejszy i apetyt lepszy. W duszy jego zaczęło się wyjaśniać, zaczęła się ustalać owa pogoda wewnętrzna, którą mu dotychczas psuły niezaspokojone roszczenia i rojenia. Zbył się teraz wszelkich roszczeń, stanął do pracy jak prosty rolnik, jak starszy brat wieśniaków, którzy z nim pracowali, a dla których prócz zarobku miał słowo przychylne i radę światłą i pieśń pobożną. W owych to bowiem czasach zaczął tworzyć pieśni religijne, których pierwsze wydanie przypada na rok 1793**). Religijność wpajana weń przez ojca, podsycona w życiu takiemi przykładami jak Piasecki, stała się teraz głównym nastrojem duszy Karpińskiego. Wszystko

---

*) Sejm grodzieński rozpoczął się 17 czerwca 1793, skończył się 23 listopada.

*) Obrazy z życia i podróży. Wilno 1842. T. I. str. 115.

**) Pieśni nabożne przez F. K. w Wilnie. W druk. J. K. M. 1793.

*

się składało na to, aby muza jego wyłącznie zwróciła się ku Bogu: i tyle zawodów doznanych i wiek już podeszły, i samotność, i przystawanie z naturą, i nieszczęścia spadające na naród. Jakże bezsilnymi, jak nikłymi, lub jak nędznymi wydawali mu się ci, których niedawno uważał za potentatów, od których oczekiwał polepszenia losu. Oto królowi z całej potęgi nic nie zostało prócz gorzkich wyrzutów i bolesnych wspomnień. Oto Szczęsnemu Potockiemu ze sławy i ze świetnych nadziei pozostała tylko wzgarda narodu. Teraz w Bogu tylko chciał Karpiński mieć jedynego mecenasa, jedynego pana, jedynego obrońcę.

Wkrótce w kolonji jego osiadło kilku wieśniaków z pobliskich dóbr królewskich. Karpiński wydzielił im grunta, które przez pięć lat mieli trzymać bezpłatnie, a po ich upływie płacić pewien czynsz lub odrabiać pańszczyznę dwa dni na tydzień. Pobudowali się ci włościanie nieopodal od dworku poety, któremu zaczęło być teraz weselej, gdy miał już wioskę koło siebie. Miejsce to dawniej nazywano Kraśnikiem, Karpiński nazwał je teraz od swego nazwiska Karpinem. Wieśniakom, którzy przy nim osiedli, przepisał prawa tak praktyczne, że bójki i złodziejstwa w nowej osadzie stały się rzadkością, a wieśniacy, uznawszy korzyść z tych praw wypływającą, byli bardzo wdzięczni za nie swemu panu*).

Kiedy się ostateczna odgrywała katastrofa w r. 1794, spokojniej zapewne było w leśnej kolonji jak gdzieindziej, ale i tutaj dochodziła wojenna wrzawa, i Karpin bywał narażany na zaciekłość rozpasanego żołnierstwa, a to z powodu, że leżał blisko wielkiego gościńca, którędy ciągnęły nieprzyjacielskie półki. Po ostatnim jednak rozbiorze, urzędnicy i generałowie rossyjscy bardzo względnie obchodzili się z poetą, a niektórzy z nich, ujęci naiwnością i otwartością jego, bardzo go polubili. Do tych należał książę Repnin, który przedstawił się Karpińskiemu z najlepszej swej strony, ztąd też poeta wyrobił był sobie o nim pojęcie lepsze od sądu jaki nań wydaje historja**). Dopraszał się on ciągle u Karpińskiego o jakiś wiersz dla siebie; poeta obiecywał przez grzeczność, ale czuł, że mu trudno będzie zadość uczynić tej prośbie. Wreszcie kiedyś na polowaniu w puszczy białowiejskiej znów przypomniał Repnin poecie niedotrzymaną obietnicę, a ten mu na to odpowiedział: „Cóż mam pisać mości książę, po upadku ojczyzny mojej jestem smutny, a smutny pisząc, nikogo zabawić nie może?“ Repnin odpowiedział: „Napisz mi smutno, bylebyś napisał.“ Wówczas napisał mu Karpiński wiersz i posłał do Petersburga, dokąd Repnin się udał. W wierszu tym przy końcu były wielkie pochwały dla księcia, ale cały on był tak śmiało napisany i tak bolem patrjotycznym przepełniony, że Repnin odpisał, iż musiał go mieć Karpiński za prawdziwego przyjaciela, skoro pod surowym rządem rossyjskim ośmielił się uczcić go takim wierszem***). Repnina poznał Karpiński w Grodnie, dokąd pojechał odwidzieć króla, przywiezionego tam wówczas z Warszawy. Król go przyjął ze łzami w oczach, zatrzymywał przez cały tydzień i smutne z nim na rozpamiętywaniach spędzał wieczory. Kiedy go i dalej chciał zatrzymywać, wymawiał się Karpiński potrzebą powrotu do kolonji. „Albo masz kolonję? (okrzyknie mnie) dajże jej imię Justyna.“ A ja mu na to: „I ta Justyna i Karpiński przy niej z głodu zdechnie.“ Wykrzyk ten wybornie charakteryzuje ową drażliwość, ów brak panowania nad sobą, jakim się nasz poeta przez całe życie odznaczał. Nie mógł się przecież teraz nic spodziewać od króla, któremu z władzy, świetności i mienia nic nie zostało prócz długów i smutnych wspomnień, i odwidziny jego były zupełnie bezinteresowne, a przecież wspomnienie dawnych zawodów tak go rozdrażniło, że nie zdołał się powstrzymać od niewczesnej skargi. To też im starszym był, tem trudniej mu było żyć z ludźmi, do których nie czuł szczególnej sympatji, lub którzy nie starali się na każdym kroku uwzględniać jego drażliwości. Jeden z magnatów, czy przez próżność, czy przez szczerą życzliwość, ofiarowywał Karpińskiemu 3.000 tysiące czerwonych złotych, byle ten zechciał mieszkać przy nim do śmierci*). Karpiński podziękował za dobre chęci, ale daru nie przyjął; dawniej podobna propozycja bardzo by go była uszczęśliwiła, dziś zasmakowawszy w niezależnej pracy, nie chciał jej mieniać na życie wygodne ale próżniacze i krępowane rozmaitemi względami. Obiecał jednak przyjeżdżać kilka razy na rok do swego pana i bawić po kilka tygodni. Ale już za pierwszym przyjazdem, po trzech tygodniach pobytu, wszczęła się jakaś zacięta sprzeczka pomiędzy nimi, i nasz poeta miał sposobność przekonać się, jak dobrze zrobił, nie biorąc pieniędzy od magnata i do niczego się nie zobowiązując.

*) W roku 1797 kolonja podług ostatniej rewizji liczyła dusz męskich 21, żeńskich 18. Kraszewski, Obrazy z życia i podróży. T. I. 118.

**) Kalinka. Ostatnie lata panowania Stanisława Augusta. str. CXXIV.

***) Między innemi jest tam następująca strofa:

Zdaje się, że już widzę, jako brat od brata
Pomiędzy trzy mocarstwa oddzieleni świata,
Rolę, którą niedawno wspólną ręką sieli,
Bijąc się za swych panów krwią niewinną zleli,

Ciekawy kontrast z wierszem Karpińskiego stanowi wiersz Trembeckiego mniej więcej w tym samym czasie pisany i także dla Repnina, a to z powodu balu przezeń dawanego. Wiersz szambelana oddycha tak swobodną wesołością, jak gdyby cień nawet klęski nie był wówczas przez kraj przeszedł.

*) Pam. 312.

Tęskno było samotnemu Karpińskiemu w Kraśniku, a przytem z wiekiem już i koło gospodarstwa, które się z każdym rokiem rozrastało, nie mógł się krzątać, jak należy, więc wziął do siebie wnuka po siostrze, Franciszka Kozierowskiego. Był to poczciwy chłopak i szczerze przywiązany do dziadka, więc też i Karpiński bardzo go pokochał i oddał mu potem całe gospodarstwo i wszystkie dochody z kolonji, zastrzegłszy sobie pewne wygody. Sprowadził potem i młodszego wnuka, ale w tym widząc jakąś zarozumiałość i pychę, powtarzał mu często: „Wybijaj sobie ile możności z głowy, żeś pan i mądry, a natomiast wbijaj, żeś głupi, to można jeszcze mieć nadzieję, że coś z ciebie będzie.“

Pomocników zatem już nie brakło, zamożność była w domu, ale nie było twarzy kobiecej, któraby ożywiła martwe ściany dworku Kraśnickiego, nie było kobiecej ręki, któraby ład przyjemny umiała w domu utrzymać. Chciał mieć więc poeta i siostrę obu wnuków, i polecił Franciszkowi Kozierowskiemu, jadącemu na Wołyń do księżnej Sapieżyny krajczynej po odebranie procentu od pewnej sumy u niej złożonej, aby zajechał do Galicji i zabrał siostrę. Panna Katarzyna, jadąc z bratem do dziadka, wstąpiła do księżnej i trafiła tam na bal, ale nie przyzwyczajona do wielkiego świata i nie mając nikogo znajomego, nie chciała tańczyć i siedząc koło księżny robiła pończoszkę. Nieśmiałość i skromność ładnej dziewczyny bardzo się podobała bogatemu panu wołyńskiemu, Walentemu Polanowskiemu, który już był kilka partyj odrzucił przez bojaźń dostania złej żony, i ten w kilka tygodni po przyjeździe wnuczki do Karpińskiego, stawił się w Kraśniku prosząc o jej rękę. Nie mógł Karpiński odmówić, bo widział w tem małżeństwie szczęście Kasi, ale domek jego miał być znowu pozbawiony okrasy, której tak pragnął sędziwy poeta. Przed odjazdem państwa młodych dał wnuczce spisane przestrogi, jak ma postępować w nowym stanie. Dopiero w kilka lat potem, już po roku 1812*), zjawiła się nowa postać kobieca w Kraśniku; była nią żona Franciszka Kozierowskiego, któremu wówczas ustąpił dziadek wszelkich praw swoich do kolonji.

(C. d. n)

*) Pam. 351.

WYSTRZAŁ W OKO.

Nowella.

Napisał

JAN STELLA SAWICKI.

(Ciąg dalszy.)

W czasie jednego wesołego wieczorku Sokołów zaproponował strzelanie do celu, a Safianów obiecał przynieść piękny srebrny puhar, który otrzymał od dziadka, na nagrodę najlepszego strzału. Całe towarzystwo przyjęło propozycję z radością, i strzelanie do celu naznaczono na poniedziałek. Wszystkie znaczniejsze osoby były zaproszone na tę zabawę, i przygotowano znaczną ilość butelek wódki, wina i zakąski, żeby zaproszeni nie nudzili się. Strzelanie miało odbyć się za miastem nad rzeką Czytą. Prokuratora zaproszono na sędziego w sprawie rozdawania nagrody najlepszym strzelcom.

W dniu naznaczonym na błoniu pokrytem kwieciem postawiono trzy mety: na 150, 200 i 300 kroków. Za najcelniejszy strzał na pierwszą metę przeznaczono szynkę niedźwiedzią, na drugą trzy butelki szampana, a na trzecią srebrny puhar.

O czwartej po południu zebrali się zaproszeni do strzelania i mnóstwo ciekawych z miasta. Pierwszą nagrodę wziął sprawnik, który bardzo dobrze strzelał; druga nagroda dostała się mu także, bo trafił w samo serce. Przy strzelaniu do trzeciej tarczy kula sprawnika uderzyła w pierwsze koło. Kozacki oficer Pietrów wystrzelił po nim, i także trafił w pierwsze koło. Ponieważ nikt strzału lepszego nie zrobił, sędzia postanowił pomiędzy dwoma najzręczniejszymi odbyć jeszcze jedną próbę. Sprawnik wystrzelił i kula trafiła w trzecie koło; kula zaś Pietrowa przeszła mimo tarczy. Sprawnik więc był zwycięzcą.

Gdy rozpromieniony tryumfem szedł po odebranie puharu, wzrok jego spotkał twarz Czoborskiego, który wracając z miasta, dokąd chodził po zakupno prochu i ołowiu, zatrzymał się na uboczu i przypatrywał się zabawie z wzgardliwym uśmiechem na ustach.

Czoborski był ubrany w szarą kurtkę spiętą skórzanym pasem, w spodnie zasunięte w wysokie buty i w czapkę bobrową; przez ramię miał przerzuconą strzelbę pojedynkę, służącą mu do polowania. Był to człowiek wysokiego wzrostu, barczysty i silny, twarz miał opaloną od słońca, oczy czarne pod arkadami czarnych gęstych brwi, nos orli i zęby białe jak kość słoniowa

— A ty czego się tak uśmiechasz złośliwie, może ty zdołasz zrobić strzał lepszy jak ja? zapytał go z dumą sprawnik.

— Zdołam — odpowiedział strzelec lakonicznie.

— Nu pokaż się tu, pokaż, zawołał sprawnik. Nie dość nam polskich przechwałek, dowiedz, że nie kłamiesz. Otaczający zaczęli także prosić Czoborskiego, żeby strzelał do tarczy.

— Ja trafię w każdą kulę, którą pan wsadzisz do tarczy. I zrzuciwszy strzelbę z ramienia, lekko podniósł ją w górę, chwilę celował, strzał huknął i pierwsza kula sprawnika, która utkwiła w tarczy, wyleciała na drugą stronę pchnięta kulą strzelca.

— To przypadek tylko, zawołał obrażony sprawnik, gdy dowiedział się o rezultacie strzału. Czoborski, który już powtórnie broń nabił, szybko podniósł ją w górę, prawie nie celując wystrzelił i druga kula sprawnika przedziurawiła tarczę.

— Hura, hura, krzyknęli widzowie, do niego puhar należy.

— Jak to, zawołał sprawnik! Ja tego nie dopuszczę, żeby katorżnik jakiś miał nam zabierać nagrodę największą, ja tego nie pozwolę, bo ona do mnie należy!

— Mój panie, rzekł prokurator obrany na sędziego, sam pan wyzwałeś go do walki i do pokazania, co ten człowiek umie, jemu więc muszę przyznać nagrodę, bo ta mu należy się według wszelkiej sprawiedliwości. Zebrani, nie cierpiąc sprawnika, radzi byli z jego poniżenia i głośno uznawali słuszność słów sędziego. Sprawnik musiał ustąpić i Czoborski otrzymał puhar srebrny.

— Nauczyłem się strzelać w ten sposób, celując zawsze w oko zwierzęcia, które strzelam; nie lubię napadać z tyłu i chcę, żeby mój wróg widział tego, kto mu śmierć posyła. — Mówiąc to, nachylił się ku ziemi, podjął kamień, rzucił go wysoko, a nim on spadł, wystrzelił raz jeszcze, i kamień w powietrzu ugodzony kulą rozprysnął się na kawałki. Potem ukłoniwszy się otaczającym, spokojnym krokiem podążył do swego mieszkania, unosząc puhar, ten przedmiot pożądania sprawnika.

Sprawnik rozwścieklony, w towarzystwie zwykłych swych kolegów także niezadowolonych z rezultatu zabawy, wracał do domu odgrażając się: „Poczekaj ty psie lachu, ja cię nauczę grzeczności i rozumu, ja ci zapłacę za ten puhar, popamiętasz ty mnie ruski miesiąc“.

Przyszedłszy do domu wybił swego służącego, kopnął nogą psa, który biegł na spotkanie jego, i cisnął szklankę o ziemię, żeby zadość uczynić swej złości. Kilka dni z rzędu w Czycie mówiono tylko o niesłychanej zręczności zesłańca, co jeszcze więcej obudzało wściekłość sprawnika, który uważał siebie za najlepszego strzelca.

W tydzień po tym wypadku zginęło u mieszkańców okolicznych kilka koni i kilka krów. Sprawnik, któremu się skarżono powiedział, iż on już ma doniesienie, kto jest sprawcą kradzieży, i że wkrótce będzie go miał w ręku swoim.

— Pojedziecie ze mną moi panowie, rzekł do swych zacnych kolegów, dzisiaj pobawimy się dobrze, a ja zabiorę puhar u lacha, który mi go wydarł, a kwit wypiszemy mu na skórze.

Wziąwszy pięciu chłopów, którzy mieli być świadkami, i posadziwszy ich na wozy, pan sprawnik i jego towarzysze wyruszyli w stronę, gdzie leżała chatka Czoborskiego.

Przy wejściu do doliny wśród krzaków róż i czeremchy pasły się spokojnie skradzione konie i krowy.

— Aha lachu przeklęty, to ty jesteś tym złodziejem, zawołał wesoło sprawnik, nauczymy my ciebie uczciwości. Panowie, wytnijcie dobre kije z dzikich róż, musimy go oduczyć od złodziejstwa. Chłopi naprzód! złowić, skrępować lacha i przywiązać go mocno do drzewa!

Czoborski nie spodziewał się napadu, i siedząc przed domem spokojnie, rozciągał do suszenia skórki dzikich zwierząt zabitych na polowaniu. Wtem wypadli z za krzaków chłopi, i pomimo rozpaczliwego oporu skręcili mu ręce w tył, związali sznurami i przywiązali do drzewa w chwili, gdy sprawnik pokazał się z towarzyszami.

— Ach ty złodzieju, łajdaku, nie dość żeś się odważył podjąć bunt przeciwko naszego cara, ty jeszcze chcesz krzywdzić jego wiernych poddanych, my tu ciebie oduczymy miatieżniku i od buntów i od kradzieży. Zciągnąć z niego odzienie... — zawołał do chłopów.

W tej chwili żona Czoborskiego wybiegła z chaty, i widząc na co się zanosi, rzuciła się do nóg Sokołowa prosząc go o litość, i zapewniając, że to nie mąż jej ukradł te konie.

Strzelec, który dotychczas stał jak odurzony, widząc żonę walającą się u stóp sprawnika, zawołał na nią po mandżursku: Abhi amakal ijoksi ojor (żono idź do chaty, krew w krótce popłynie) — ty nie przebłagasz tych rozbójników.

— Precz złodziejko! — wrzasnął Sokołów uderzając kobietę nogą w piersi, — ja tu was nauczę... i podniósłszy kij zbliżył się do nieszczęśliwego Czoborskiego.

Pierwszy raz zadany po plecach był tak silny, że przebił skórę i kwew bryznęła na obnażone jego ciało; koledzy Sokołowa przyskoczyli także i każdy zaczął okładać go razami, starając się dogodzić jak najmocniej, jak najboleśniej. Czoborski stał jak trup blady i tylko pierwsze uderzenie wyrwało słaby jęk rozpaczy i gniewu z piersi jego, potem stał jak martwy i tylko drganie mięśni ranionych okazywało, że ból czuje. Oczy jego czarne krwią nabiegłe z dzikim jakimś wyrazem wpatrywały się w twarze oprawców, jak gdyby chciał w duszy zachować obraz każdego. Ten wzrok okropny zaniepokoił niektórych z towarzyszy sprawnika, lecz pobudzani przez swego dowódcę, smagali go nielitościwie. Całe ciało nieszczęśliwego strzelca było poszarpane, skóra na plecach wisiała kawałkami, ale w miarę jak biedna ofiara zemsty sprawnika traciła siły, sprawnik pieniąc się ze złości, że nie krzyczy, zadawał mu coraz boleśniejsze rany, a widząc iż nie wydobędzie ze strzelca jęku boleści i sam zaniepokojony dzikim wyrazem twarzy i oczu jego, wrzasnął: — Bijcie go na śmierć panowie, ja za to odpowiadam... i silnie uderzył go pałką po głowie; strzelec stracił przytomność, głowa opadła na ramię, i całe ciało zwisło, utrzymywane tylko więzami około drzewa.

— Izdoch kanalja! rzekł sprawnik; teraz pójdziemy odebrać mu puhar. Wszedłszy do chaty z towarzyszami zażądał od przestraszonej i spłakanej żony strzelca wydania puharu, dla wynagrodzenia, jak powiadał, pokrzywdzonych, którym strzelec bydło pokradł. Z łupem swoim sprawnik wracał tryumfująco, a przechodząc około drzewa, na którem wisiał przywiązany za ręce strzelec, widząc iż już nie żyje plunął mu na twarz dodając: „Wot tiebie sobaka lach mojo pogrebalnoje słowo“ (Oto psie lachu moja pogrzebalna nad tobą mowa).

Chłopi, niewinni świadkowie tej okropnej egzekucji, wracając szeptali między sobą, że zginął człowiek niewinnie, bo widocznie, że bydło było naumyślnie przypędzone ku chacie strzelca, żeby na niego padło podejrzenie. Gdyby on ukradł, mówili, to pewnie by schował je gdzieś głęboko w lesie a nie tuż niedaleko od drogi.

Tymczasem strzelec nie umarł, lecz zemdlał tylko z bolu i z wielkiej utraty krwi. Gdy oprawcy oddalili się, żona przecięła więzy, przyniosła go do chaty i zaczęła rany okładać różnemi ziołami namoczonemi w wódce. Kilka miesięcy leżał w łóżku strzelec, męcząc się okropnie; lecz silna natura jego przemogła, chociaż ciało jego było tak poszarpane i pokaleczone, iż zdawało się być zszyte z rozmaitych gatunków i kawałków skóry.

Gdy już mógł wstać z łoża i chodzić, Czoborski kazał żonie, żeby zebrała manatki swoje i przygotowała się do drogi. Żona przywykła do posłuszeństwa od dziecka, spełniła polecenie, nie pytając co robić dalej zamyśla. Czoborski schudł okropnie, zmizerniał i wyglądał jak upior, czarne tylko oczy jego świeciły ogniem ponurym. Zebrawszy wszystko co posiadał, strzelec zapalił dom swój ze czterech stron, a gdy już ostatnia spaliła się ściana, w mroźny zimowy dzień ruszył na wschód.

Długa zima pokryła okoliczne góry płachtą śniegu. W piękny dzień zimowy, gdy ukośne promienie słoneczne ociepliły nieco powietrze, pan sprawnik i jego satelici wyruszyli na polowanie do bliskiego lasu. Polowanie udało się znakomicie; każdy niósł z sobą wiązkę różnego ptactwa, lecz gdy się zebrali na polanie dla posiłku, nie przybył podsędek Chabarów, który zabłąkał się, albo zapędził się za daleko za zwierzyną. Na próżno trąbka grała, Chabarów nie nadchodził. Zimowe dnie Sybiru są krótkie, zmrok zgęścił się, na szafirze nieba zaczęły występować mrugające gwiazdy, potrzeba było wrócić do domu; wesoła kompanja napiwszy się wódki, śpiewając poszła do domu mówiąc: „Wróci sam“. Lecz Chabarów nie wrócił.

Na wiosnę znaleziono w lesie tylko kości ogryzione przez drapieżne zwierzęta; czaszka była przebitą z tyłu: domyślano się, że to był Chabarów, i że niedźwiedź rozszarpał nieostrożnego myśliwego... (Dok. nast.)

Z przeszłości cechów w Polsce

przez

Franciszka Ksawerego Martynowskiego.

Zamierzając mówić o życiu stowarzyszeń rzemieślniczych dawnych stuleci, sądzę, że nie będzie od rzeczy podać pierwej bodaj pobieżną charakterystykę średniowiecznego miasta, jako ogniska, w którem się to życie rozwijało i tak wybitnie znaczyło w przeszłości. Dzisiaj zwłaszcza, kiedy znamiona średniowieczczyzny prawie zupełnie w miastach naszych zatarte zostały, bo zaledwo kilka grodów polskich mogło by się niemi poszczycić, charakterystyka taka jest niezbędną, choćby nawet i z tego względu, że warunki zewnętrzne wpływają zazwyczaj wiele na kierunek i rozwój życia tak pojedyńczego człowieka, jak i którejkolwiek z instytucyj publicznych.

Jakoż z daleka już każde większe miasto średniowieczne uderza wojennym charakterem. Jeszcześ bowiem nie dojechał do bram jego, a

już stanęły przed oczami twemi kamienne mury, co niekiedy potrójnym pierścieniem opasując miasto, najeżyły się wyniosłemi basztami, dla których fraszką było na barkach swoich bojowe działa unosić. A ówdzie znowu potężna brama, do której wiodły mosty zwodzone, wyjrzała tajemniczo hen na zaułki przedmiejskie, okoliczne sioła, na pola i lasy sąsiedzkie. Same zaś mury, okalające gród średniowieczny, zabłysły wielu drobnemi okienkami bądź podłużnego, bądź okrągłego zakroju; a kiedy podniesiesz w górę oczy, zobaczysz, jak szczytowe krawędzie onych murów rozprysły się w ustępy zębate, i tak niby się strzepiąc z zabawki, tworzyły bezpieczne schronienie dla dzielnego obrońcy miasta.

Nie innego też było charakteru i wewnętrzne urządzenie dzielnic miejskich w dawniejszych stuleciach, — odpowiadały one najzupełniej zewnętrznym znamionom obronnego grodu. Więc ledwoś się wysunął z bramy, ledwoś wbiegł na ulicę, aż ona zakręca się w półkole, albo załamie po linji krzywej, to znowu przecinające się z inną jaką siostrzycą, tonie w gęstych zastępach kilkopiątrowych domów, co jakby w trwodze wojennej skupiły się w ścieśnione kolumny. Ale im nie dumać tylko i obawiać się nieprzyjacielskiego najazdu. Każdy dom średniowieczny większego miasta, z kamienia i cegły niespożytej, wyrósł ponad ulice w potężne mury i poważne a silne sklepienia, rozpinające się ponad sieniami i mieszkaniem rozlicznem, więc uczuł taki gmach swoją siłę wewnętrzną i pojął znaczenie swoje. To też oprócz tego, że daje w wnętrzu swojem schronienie dla człowieka i jego dobytku, — dumnie i zbrojnie wystąpił na zewnątrz. On nie bardzo się lękał nieprzyjacielskiego najazdu, bo opatrzył się podwojami kowanemi z żelaza, częstokroć prawdziwie artystycznego wyrobu: dolne okna zabezpieczył kratami potężnemi, na których nie trudno i wdzięku misternego dojrzeć. Już same te przymioty czyniłyby obronnym dom starożytny, — ale na tem nie koniec jego rycerskiej buty. Patrz oto na pierwszem lub drugiem piętrze ściana wychyliła się na ulicę kamienną, okrągłą, albo wielokątną wystawką, zwykle wykuszem nazwaną, w której z łatwością mógł się zbrojny człowiek pomieścić i przez małe okienka razić nieprzyjaciela śmiertelnemi pociskami.

Dla spotęgowania znowu wojennego wyrazu, domy średniowieczne wysokie a wąskie, bo najczęściej o dwóch oknach, obróciły się wyniosłemi szczytami, postrzępionemi w zębowania do ulicznego frontu. A że owe zębowania szczytów były również kamienne i silne, więc w razie okazji bojowej zasłaniały bezpiecznie wojownika miejskiego, co za niemi stanąwszy z rusznicą, pociskami lub kuszą godził na dzikiego pohańca, albo barbarzyńskiego Tatara.

Zapyta może ktoś, dla czego ulice średniowiecznego miasta były tak wąskie i krzywe? Prawda, że nam się to dziwnem wydaje, tem więcej, że tego rodzaju ulice były nader niewygodne dla gęstej jazdy handlowego miasta; ale nie mogło być wtedy inaczej, albowiem wąska i krzywa ulica stała się potrzebą strategiczną, wojenną. Potrzeba ta była tak dalece obmyślaną, że nawet brama miejska nie otwierała się w kierunku ulicy, ale kierowała swoje wejrzenie na dom lub inny budynek miejski. Stąd wjazd nieprzyjacielski do miasta doznawał ciągłych przeszkód, a impet koni zostawał osłabiany przez one zakręty i wąskość ulicy. Gdy nadmienimy jeszcze, że w pewnych odstępach do murów domowych były przytwierdzane potężne łańcuchy, co w razie potrzeby rozpinające się w poprzek ulicy, tworzyły rodzaj barykad miejskich, otrzymujemy tym sposobem najogólniejszy zarys zewnętrznego charakteru średniowiecznego miasta. Kraków nasz stary jeszcze po dziś dzień wiele tego rodzaju zabytków przedstawić może, — a na początku bieżącego stulecia spotkałeś mnóstwo takich właściwości we Lwowie, Jarosławiu, Przemyślu, Warszawie, Poznaniu, Wilnie, Kijowie i tym podobnych grodach polskich, co swoją historją i znaczeniem dziejowem sięgnęły zamierzchłych stuleci.

Wojenny charakter miasta wyniknął z nie zbędnej potrzeby czasów ubiegłych, któż bowiem mógł zaręczyć, że lada chwila nie napadnie na nie czerń tatarska, lub nie zaznaczą się ogniem i mieczem niezliczone zastępy tureckiej dziczy. Tam zaś, gdzie grody starożytne były wolne od najazdów tatarskich, musiały się zabezpieczać przed innego rodzaju nieprzyjaciółmi, o których nie trudno było w średnich stuleciach, kiedy to stosunki państwowe i polityczne nie stały na takiej stopie ustalenia, jak to dzisiaj widzimy. To też każde miasto przestrzegało pilnie, aby jego mury i baszty odpowiadały potrzebom wojennym, a kiedy już słońce zaszło, zamykano skrzętnie bramy miejskie, i otrąbiano spoczynek mieszkańcom z wyniosłych wieżyc ratusza. Bramy zamknięto i klucze oddano w ręce pana burmistrza, jeżeli więc kto nie zdążył na czas z powrotem do miasta, musiał po za murami lub na przedmieściu nocować, choćby go największej wagi interes wzywał do domowego ogniska. Można by wprawdzie w niektórych miejscach przeleźć przez mur miejski — ale nie podobna się było narażać na srogie kary, wymierzane zwykle na tego rodzaju przestępstwa. Nie było bowiem żartów, kiedy schwytano kogo na gorącym uczynku. Przełażenie przez mur miejski po otrąbieniu i zamknięciu bram, równało się największemu występkowi, — więc gardłem się karało takie przewinienie. Radzieckie księgi stare pełno nam takich przykładów opowiedzą, a we Lwowie np. r. 1531 ścięto publicznie człowieka, który przez mur chciał przeleźć.

Oprócz tego, że surowe kary groziły tego rodzaju przewinieniom, zwykle bram i murów miejskich strzegli uzbrojeni pachołkowie, nad którymi czuwała rada miejska, co miała obowiązek nawet w nocy doglądać osobiście porządku i publicznego bezpieczeństwa.

Tak więc zewnętrzna fizjognomja średniowiecznego miasta była zupełnie wojenna, niby rodzaj dzisiejszej fortecy, była w każdej chwili przygotowana na dzielne odparcie nieprzyjaciela. Stąd wyraz pewnej trwogi bojowej i ciasnota, znamionująca skupienie się życia miejskiego, stanowiły jedną z ważniejszych właściwości średniowiecznych grodów. — A kiedyś znowu w takim np. XIV. XV lub XVI wieku powiódł okiem po szczytach wiekowego miasta, musiałeś doznać głębszych i podnioślejszych wrażeń, niż się to dzieje obecnie. Oto patrzysz w jedną stronę grodu, i widzisz jak stara świątynia wystrzeliła wysoko po nad domy, że jej prawie nieba sięgnąć swojemi smukłemi wieżycami; tam znowu rozparła się podsadzista kopuła domu bożego, a ówdzie wreszcie najeżyła się bojowemi znamionami dumna ratuszowa wieża, która zdaje się po to wybiegła hen ponad szczyty miejskich budynków, aby swoją postawą marsową dać przykład licznym siostrzycom, co się poważnie rozsiadły basztami na murach obronnych fortyfikacji grodowej. Słowem namiętność i gwałtowność średniowiecznego życia występowała wyraźnie w zewnętrznym obrazie miasta. To też choćbyś nie znał prawie jego właściwości, to sam widok zewnętrzny doskonale ci one opowie.

Wypadło by teraz o innych znamionach średniowiecznego miasta kilka słów nadmienić, zwłaszcza wejrzeć w prawodawstwo, na którem się nasze rozwijały grody; że jednak wiele szczegółów i rysów charakterystycznych przyjdzie nam poruszyć w dalszym toku niniejszej rzeczy, tutaj więc przestajemy na tem, cośmy powyżej powiedzieli. Zresztą zastanawianie się nad prawami miejskiemi w Polsce, za daleko by nas odprowadziło od właściwego zadania. Kwestja to sama w sobie nader szeroka i poważna, niepodobna jej zatem zbywać kilku słowami. To tylko chyba nadmienić możemy, że nasze miasta i wiele osad wiejskich, już w pierwszych czasach społecznego zawiązku Polski, najczęściej powstawały na zasadzie magdeburskiego prawa. Prawo to, znane później w Polsce pod nazwą chełmskiego i średzkiego prawa, a to od miejsc, w których uzupełnionem i do krajowych potrzeb zastosowanem zostało, dając grodom naszym niejako autonomiczny charakter, wprowadziło do ziemi ojczystej liczne tłumy głodnego i nienawistnego nam germaństwa. Stąd średniowieczne miasta nasze, zwłaszcza te, które handlem i przemysłem wyżej stanęły od innych, prawie połowę ludności miały cudzoziemskiego pochodzenia, która jakkolwiek z czasem spolonizowała się w zupełności, przecież w początkach walczyła z miejscowym żywiołem. Słowem, prawo magdeburskie było podstawą rozwoju naszego mieszczaństwa, jakie zaś ono skutki wprowadziło za sobą do Polski — nie do nas ta kwestja należy, więc wracajmy do właściwego zadania.

(C. d. n.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XI.

Rzeczoznawca.

Zimna szara mgła ostatniej nocy cicho podsunęła się i po zajęciu w posiadanie miasteczka potoczyła się dalej w daleką głęboką dolinę przed haciendą i rancho pod „św. Trójcą,“ gdzie jeszcze zgęściła się — gdy wschodzące słońce jej forpoczty już rozpędziło. Patrząc z wież misji rozpościerała się ona, jak zimna para morza nad haciendą i ranchem i po części zakrywała ich mury. Było to jakąś właściwością rancha, że wśród tego czasami całkiem znikał on z widnokręgu, lub raczej gubił się między górami i z niemi zdawał się łączyć.

P. Perkins, angielski tłumacz, który tego poranku jechał w tym kierunku lekką jednokonką, znalazł się parę razy zmuszonym powstrzymać zapęd swój, ażeby zorjentować się — aż w końcu szare morze opadło i hacienda powoli na widownię wystąpiła.

Chociaż przeistoczenia się pana Perkinsa dobrze były znane tym, z którymi pozostawał on w bliższych stosunkach, to jednak dla obcego

trudnem byłoby w staroświeckiem elegancie, który teraz jechał jednokonką, poznać niedbale ubranego tłumacza z ulicy Pacific. Włosy pana Perkinsa były rozczesane, ufryzowane i na ciemno pofarbowane. Wysoki sztywny krawat, który niegdyś, w dawno minionych czasach, był w modzie, obejmował jego szyję, nad którą wznosiła się sztywna bez wyrazu twarz, niby maska, która, ażeby ukryć wysoko czerwone swe ubarwienie, była upudrowaną bez żadnej widocznej oszczędności. Jasnoniebieski, na piersiach szczelnie pozapinany surdut i para spodni, ciasnych i należycie strzemiączkami na lakierowanych butach naciągniętych, uzupełniała ten godny uwagi ogół. Ta figura, bardzo dobrze znana na ulicy Montgomery po trzeciej godzinie popołudniu, z trudnością mogła być przyrównawną do kościstej osobistości w owej otchłani przy ulicy Pacific; a tu, na równinie San Antonio, zupełnie mogła być niepoznaną.

Widocznem wszakże było, że figura ta, chociaż tak ekscentryczna, była oczekiwaną w haciendzie, i że tam przyjęto ją jako osobę, której pojawinie się, obok antycznej swej społecznej dystynkcji, jeszcze inną szczególną wagę miało. Gdyż jak tylko p. Perkins stanął w dziedzińcu, szanowny major - domo wprowadził go bezzwłocznie do niskiego gościnnego pokoju, którego dokładny opis już dawniej podaliśmy. Po chwili donna Dolores Salvatierra stanęła przed nim.

Z bystrością doświadczonej światowej kobiety, donna Dolores odkryła natychmiast pod tą śmieszną powierzchownością coś takiego, co kazało jej zapatrywać się na tę figurę w uniewinniającem świetle. Spostrzeżenie to dała poznać przez głębokości na pół formalnego ukłonu, którym go powitała. P. Perkins odpowiedział na to powitanie, również głębokim i pełnym szacunku ukłonem. Widocznie z przyjęcia tego był zadowolony. Ale jak większa część ludzi, których stanowisko społeczne nie jest należycie ugruntowane, stał się podejrzliwym i postanowił trzymać się odpornie. Z pełnym uprzejmości ruchem wachlarza donna wskazała na krzesło; gość jednak wolał pozostać w postawie stojącej.

— Jestem panu zupełnie obcą, senor, ale pan wcale mi obcym nie jesteś — tak zaczęła z uprzejmym uśmiechem. Nim odważyłam się zdecydować na tę rozmowę, byłam już powiadomiona o jego inteligencji, doświadczeniu i szanownem powołaniu, przez jego przyjaciół. Niech pan i mnie do nich zaliczy... niech to będzie ułożone nim przejdę do sprawy, dla której pana tu powołałam.

Dziwaczna figura znowu ukłoniła się głęboko, ale pomimo litość wzbudzającego upudrowania i kosmetyków, czerwoność twarzy świadczyła o jej pomięszaniu Donna Dolores zauważała to, lecz przez delikatność odwróciła się, podeszła do staromodnego biórka i otworzyła je, ażeby gościowi swemu dać czas do opamiętania się. Z małej szufladki wyjęła złożony w kilkoro dokument, prawniczo wyglądający, potem postawiła dwa krzesła przy biórku i na jednem z nich usiadła. Przypominając sobie praktyczny cel swej tu bytności, p. Perkins nie mógł odmówić ofiarowanego sobie krzesła.

— Sądzę, — tak zaczęła donna Dolores — że sprawa moja, chociaż w ogóle jest panu znaną — bo często zasiągają rady pana w podobnych sprawach — może wydać się mu dziwną, jeżeli pan dowiesz się o moich powodach. Tu jest oryginał koncesji, wystawionej, jak się z niej wykazuje, dla mojego... ojca... zmarłego don Jose Salvatierra Zbadaj ją pan z łaski swej starannie i odpowiedz mi na jedno tylko zapytanie według swego zdania i sumienia.

Zawahała się, a potem dodała:

— Pozwól pan, nim odpowiesz mi tak, lub nie, zrobić także uwagę, że dla mnie nie masz wtem żadnego interesu pieniężnego!... wcale nie interesu, któryby przeszkadzał panu do wyjawienia jego zdania, a którego prawne udowodnienie, być może, iż mogłoby być od niego wymaganem. To jednak nigdy od niego wymaganem nie będzie. Odpowiedź pana będzie przezemnie w ścisłem zaufaniu zachowana; nie będzie ona, o ile to świat obchodzić może, naruszać pieniężnej wartości tego dokumentu, pozostawi panu zupełną swobodę do wyrażenia później innego zdania, sprzecznego z dzisiejszem, lub też nawet do obalenia swego sądu, jeżeli okoliczności wymagać tego będą. Pan zdajesz się zdziwionym, panie Perkins. Ale ja jestem bogata. Wszak nie potrzebuję zdania pana dla powiększenia mojego majątku.

— Racz pani pytać, — rzekł p. Perkins, po raz pierwszy przemawiając swobodnie.

— Czy ten dokument jest sfałszowany?

Wziął dokument z jej rąk, otworzył z pewną rutynowaną swobodą, rzucił pobieżny wzrok na podpis i pieczęć i oddał nazad.

— Podpis jest prawdziwy, powiedział krótkim urzędowym tonem; a jako wyjaśnienie dodał potem: Widziałem to już przedtem.

Donna Dolores cofnęła swe krzesło z lekkim wyrazem niespokoju. Ruch ten wzbudził uwagę Perkinsa. Było w nim coś nowego, szczególnego. Widział przed sobą kobietę, która w samej rzeczy zdawała się być nieprzyjemnie dotkniętą tem, że jej prawo na cenną własność było prawomocnem. Z ciekawością zwrócił na nią oczy.

— A zatem sądzisz pan, że jestto prawdziwa koncesja? rzekła lekko westchnąwszy.

— Prawdziwa jak każda inna, która kiedykolwiek w Washyngtonie zatwierdzoną była, odrzekł pospiesznie.

— A! zawołała donna Dolores.

Ten kobiecy wykrzyknik zdawał się nadawać odpowiedzi Perkinsa znaczenie, które go zaniepokoiło i zarazem wyzwało. Znowu więc stanął w położeniu obronnem.

— Czy masz pani, zapytał, jakiekolwiek powody do powątpiewania o prawdziwości tego dokumentu?

— Tak jest. Niedawno znaleziony on został między papierami don Jose, a istnieje jeszcze drugi?

Perkins znowu wyciągnął rękę, wziął papier, zbadał go uważnie, potrzymał naprzeciw światła i znowu położył.

— Wszystko jest w porządku, powiedział. Gdzie jest drugi?

— Nie posiadam go, odrzekła donna Dolores.

Perkins ruszył ramionami, czem wyraził największy szacunek dla donny Dolores; ale zarazem tyleż lekceważenia pod względem nieudolności do interesów płci, do której się ona zaliczała.

— Jakże pani mniemasz, że będę mógł zrobić porównanie? zapytał.

— Porównanie nie jest tu potrzebne, jeżeli ten dokument jest prawdziwy, odrzekła prędko donna Dolores.

Perkins zmięszał się na chwilę.

— Chcę tem powiedzieć, że może zawierać się jakieś opuszczenie. Przy jakich warunkach był on żądany... kto go ma w ręku? komu był wystawiony?

— Jestto część mojej historji. Wystawiony on był przed pięcią laty pewnemu doktorowi Devarges... przepraszam! czy pan co mówiłeś?

Perkins nic nie mówił, lecz utkwił oczy w donnę Dolores.

— Powiedziałaś... pani... doktor Devarges... powtórzył powoli.

— Tak jest. Czyś go pan znał?

Teraz przyszła kolej na donnę Dolores zmięszać się i zakłopotać. Ugryzła się w usta i niewidocznie ściągnęła brwi. Przez chwilę milczeli oboje w obronnej pozycji.

— Nazwisko to słyszałem już dawniej, rzekł nakoniec Perkins z wymuszonym uśmiechem.

— Tak; to jest nazwisko znakomitego uczonego, odrzekła donna Dolores. Otóż on umarł. Ale tę koncesję dał pewnej młodej dziewczynie, nazwiskiem... nazwiskiem — tu się zatrzymała, jak gdyby usiłowała przypomnieć sobie, — nazwiskiem Gracja Conroy.

Zamilkła i szybko podniosła oczy na swego gościa; ale twarz jego była nieruchoma i chwilowe wzruszenie zdawało się, że przeminęło. Skinął tylko głową.

— Nazwiskiem Gracja Conroy, powtórzyła donna Dolores, prędko i swobodniej odetchnąwszy. Po upływie pięciu lat, ukazuje się kobieta... oszustka... i pod nazwiskiem Gracji Conroy, rości pretensję do tej koncesji. Ponieważ jednak prawdopodobnie napotkała trudności przy wykonaniu tego swego planu, wkręca się jakimś nikczemnym podstępem w miłość brata tej Gracji, i poślubia go jako jedynego pozostającego przy życiu spadkobiercę.

I donna Dolores, nieco zadyszana, zatrzymała się, a oczy jej błyszczały i ostatnie wyrazy miały dźwięk metaliczny. Być może, iż była to nie więcej jak naturalna niechęć kobiety przepełnionej żywem współczuciem; Perkins zdawał się nie uważać tego. Podczas ostatnich kilku sekund cała jego istota była jakby nieobecna i jakąś myślą zajęta. Wzrok, który przed chwilą zwrócony był na donnę Dolores, teraz skierowany był na ścianę, a stara twarz jego wydawała się jeszcze starszą pod swą młodocianą maską.

— Tak, tak, powiedział w końcu z wysileniem skupiając się. Ale wszystko to zmierza tylko do udowodnienia, że oryginał kocesji jest tak samo fałszywy jak i jego posiadacz. W samej rzeczy zatem nie istnieje nic innego, co podejrzenie pani pod względem własnych jej pretensyj wzbudzić by mogło, jak fakt tego niedawno dokonanego wynalezienia. Otóż według mego zdania, niepotrzebujesz pani niepokoić się. Pomyśl pani tylko, że oryginał koncesji pani wygotowany był w owym czasie, gdy grunt nie miał żadnej jeszcze wartości i zmarły ojciec pani mógł to przeoczyć jako małoznaczne.

Powstał z ruchem, z którego można było wnosić, iż rozmowę poczytuje za ukończoną. Pilno mu było oddalić się i widocznie nie pozbył się tej przykrej myśli, która go niedawno była opanowała.

Donna Dolores wstała, również z lekkim odcieniem rozczarowania w swych rysach.

Jeszcze chwila i wyszedłby; dwie te istoty, które teraz w sposób naturalny, chociaż tajemniczy, zetknęły się z sobą, poszłyby dalej każda swoją zwykłą drogą. Gdy jednak doszedł do drzwi, odwrócił się by postawić trywialne zapy-

tanie. A od tego zapytania zawisła przyszłość obojga.

— Wnoszę zatem, powiedział, że ta prawdziwa Gracja znikła. A ten... doktor... Devarges,— zawahał się wymawiając to nazwisko jak gdyby i ono było zmyślone, — jak pani powiada, nie żyje. Skądże ta oszustka ma niezbędne wiadomości o wszystkich tych okolicznościach, by mogła wystąpić ze swemi pretensjami? kto ona jest?

— O! ona... to jest... ona poślubiła Gabryela Conroy pod nazwiskiem wdowy doktora Devarges. Przepraszam! nie zrozumiałam!... co panu jest?... Panu źle się zrobiło... Pozwól pan, że zawołam Sancheza! usiądź pan tu!

Padł na krzesło, ale tylko na chwilę. Gdy chciała pobiedz po pomoc, podniósł się i pochwycił ją silnie za rękę, mówiąc:

— Już mi lepiej!... To nic!... nieraz już miewałem podobne napady. Niech pani będzie spokojna o mnie. Nie przywołuj pani nikogo. Prosiłbym tylko o szklankę wody... Tak! to wystarczy.

Wziął szklankę, którą mu podała i zamiast pić wodę nachylił głowę i powoli począł zmaczać czoło i twarz nachyliwszy się wtył na krześle. Potem wyjął z kieszeni wielką jedwabną chustkę i obtarł sobie twarz i włosy. Potem usiadł prosto i spojrzał na donnę Dolores. Pudr i farba znikły mu z twarzy, wysoki krawat rozwiązał się, surdut rozpiął się i zwisł niedbale na chudej jego postaci; włosy jego, chociaż jeszcze mokre zdawały się nagle podnosić do góry i płątać. Ale zupełnie odzyskał panowanie nad sobą i głos jego utracił poprzednie swe drżenie

— Przypływ krwi do głowy, powiedział spokojnie; przez cały ranek czułem, że to nastąpi. Teraz już przeszło. Niemasz na to nic lepszego nad zimną wodę i siedzące położenie. Spodziewam się, żem nie zniszczył pani dywana. A teraz, powracając do naszej rozmowy, — podsunął swe krzesło, już bez poprzedniej obawy przed donną Dolores, — pozwól mi pani raz jeszcze popatrzeć na koncesję.

Wziął ją do rąk, wyjął z kieszeni małe szkło powiększające i począł rozglądać podpis, mówiąc:

— Tak, tak! podpis jest jak należy. Pieczęć urzędu podatkowego. Papier zupełnie w porządku. Potem strzepnął palcami, i dodał: Możesz pani być pewną, że oszustwo jest po stronie pani Devarges. Tam jest fałszerstwo — tam podrobiona koncesja.

— Nie sądzę, rzekła spokojnie donna Dolores.

— Jakto?

— Przypuśćmy, że oryginał jest w tem i owem, w papierze, podpisie, pieczęci, słowem we wszystkiem najzupełniej taki sam.

— To niedowodziłoby niczego, odrzekł prędko Perkins. Patrz pani. Gdy ten oryginał zapełniano — za dawniejszych czasów — przed gubernatorem leżała masa takich oryginałów i była podpisywana bez zapełnienia. Czekając na rękę piszącego, ażeby stać się prawomocnym dokumentem, leżała jak papier niemający wartości w urzędzie podatkowym. Otóż ona, ta oszustka, ta pani Devarges... miała dostęp do takiego niezapełnionego formularza, jak to miał nie jeden od czasu zawojowania amerykańskiego. I ten dokument, ten tu oryginał jest tego skutkiem. Ale sprytną ona nie jest, nie! Znam ja pismo rozmaitych kopistów i urzędników... sam byłem jednym z nich. Postaw mnie pani za świadka... a ja wystąpię tak, jak przeciw innym występowałem.

— Pan zapominasz, odrzekła zimno donna Dolores, iż ja nie życzę sobie, by dokument ten miał być prawnie zaświadczony. I jeżeli hiszpańskie oryginały tak łatwo wyrabiać, to dlaczegożby i ten, w moich rękach będący, niemiał być sfabrykowanym? Mówisz pan, że znasz pisma kopistów... więc rozpatrz to.

Perkins zniecierpliwiony schwycił papier i począł szybko wodzić wzrokiem po miejscach od ręki zapisanych między drukowanemi wierszami.

— Dziwna rzecz! mruczał. To nie jest ani moje pismo, ani Sancheza, ani Reiza. To jest nowe pismo... A! a! a to co?... zmiana w dacie... i do tego inną ręką!... A to tu!... z pewnością widziałem coś podobnego do tego w urzędzie podatkowym. Ale przy czem?... Tu zatrzymał się, przesunął palce między włosami, lecz po próżnem wysileniu by sobie przypomnieć, zaniechał tego. Ale dlaczego — zawołał znowu — dlaczego miałoby to tu być sfałszowanem?

— Przypuść pan, że inny oryginał jest prawdziwy, przypuść pan, że ta kobieta w jakiś niegodziwy sposób przyszła do jego posiadania. Przypuść pan, że ktoś co o tem wiedział, starał się, nie ukazując się, narobić jej trudności przez to bardzo udatne sfałszowanie.

— Ale któżby to robił?

— Może brat... jej mąż... Może kto inny, ciągnęła dalej donna Dolores, plącząc się, podczas gdy ostry rumieniec występował na jej miedziane policzki, — może ktoś... co nie wierzy że... że prawdziwa Gracja Conroy... umarła... albo znikła.

— Może i to być zresztą, do wszystkich djabłów!... Przepraszam panią... Ale ludzie nie fałszują dokumentów w interesie słuszności i sprawiedliwości. I z jakich powodów byłby on w takim razie pani do rąk oddany?

— Znaną jestem jako kobieta bogata, odrzekła donna Dolores. Sądzę, dodała, spuszczając oczy z pewną dumą, która uprzedzonego Perkinsa w zamięszanie wprawiła, — sądzę... tak mi przynajmniej mówiono, — że słynę przytem jako hojna i... sprawiedliwa.

Perkins przez chwilę patrzał na nią z nieukrywanym podziwem.

— Ale przypuść pani, powiedział z pewną cierpkością, która zdawała się powstawać z tego przypatrywania się, — przypuść pani, że ta kobieta, ta awanturnica, ta oszustka, jest stworzeniem, które każdą podobną teorję z góry czyni niemożebną. Przypuść pani, że jest taka, która wewnętrzne życie, duszę tego człowieka — nie mówi się tu o człowieku prawnie z nią połączonym — zatruła zaraźliwem swem tchnieniem; przypuść pani, że jest ona szatanem, umiejącym łudzić rozum i serce i nawet człowieka, którego najwięcej zwodzi, przekonać o swej niewinności i do tego wystawić siebie jako obrażoną; przypuść pani, że ona sama ulega słabościom; tylko że wszystkie jej czynności są podstępne, samolubne, obrachowane, aż do uśmiechu, lub łez... wystaw pani sobie taką kobietę... taką, jakiej pani — podziękuj pani za to swemu Bogu — nawet wystawić sobie nie możesz — i sądzisz pani, że taka kobieta i tu nie przewidziała czego? Nie! nie!

— Dlaczego nie? rzekła donna Dolores, z zarumienioną twarzą i dziwnie drżącym ruchem odwracając się ku biurku — dlaczegożby chęć zemszczenia się nad jakąkolwiek... współzawodniczką nie miała być w grze?

Perkins zdumiał się.

— Dobrze! Masz pani słuszność tak jest, mruknął sam do siebie. Ja bym tak zrobił. Mógłbym tak zrobić!... Masz pani słuszność.

Poszedł ku oknu i szybko odskoczył od niego, zapinając swój surdut i poprawiając krawat.

— Ktoś nadchodzi, powiedział Pozostaw pani mnie tę sprawę. Sobie i pani wyjednam w tym względzie zupełne zadosyćuczynienie. Czy możesz pani powierzyć mnie ten papier.

Donna Dolores, nie mówiąc ani słowa, podała mu go.

— Dziękuję pani, powiedział, okazując znowu dawniejszą swą trwogę i ostrożność, które zdawały się być w związku więcej ze śmiesznym jego krawatem i pozapinanym surdutem, aniżeli z jego fizycznemi lub moralnemi przymiotami, — niemyśl pani, bym w rzeczy tej był zupełnie nieinteresowany, dodał, szczególnie uśmiechając się. Adios!

Chciała jeszcze jedno zrobić mu zapytanie, ale w tejże chwili rozległ się tentent kopyt i dźwięk głosów w dziedzińcu; więc szybko ukłonił się i znikł. Jednocześnie prawie otworzyły się drzwi znowu i ukazała się wesoła, uśmiechnięta twarz pani Sepulvida.

— A! a! rzekła mała osóbka odetchnąwszy. Jak na damę skłonną do religijności, której upobienie do pustelnictwa stanowczo jest znane, masz, muszę to przyznać otwarcie, więcej męskiego towarzystwa aniżeli osoby światowo usposobione. Naprzód napędziłam kilku mężczyzn, którzy dokoła domu wałęsali się, a teraz znajduję cię zamkniętą ze starym fircykiem. Któż to jest? może inny doradca prawny, moja droga? Oświadczam tu, że jestem za głupią. Ja mam tylko jednego.

— A czy tego jednego nie dość, zapytała donna Dolores z poważnym nieco uśmiechem, żartobliwie uderzając wachlarzem po delikatnych policzkach pani Sepulvida.

— O, tak! odrzekła ta ostatnia i lekki rumieniec wystąpił na twarz jej, — rozumie się! Widzisz mnie tu przybywającą pospieszną pocztą, ponieważ chcę ci udzielić nowiny. Ale naprzód powiedz mi, co to za wymuszony i wystrojony jegomość stoi tam w podwórzu? Przecież nie może to być pisarz pana adwokata.

— Niewiem o kim mówisz; ale zdaje mi się, że tak jest, odrzekła donna Dolores, niby na pół znużona. Ale opowiedz mi tę twoją nowinę. Jestem zaciekawiona.

Pani Sepulvida podbiegła ku oknu i spojrzała na zewnątrz.

— To nie adwokat, ponieważ ten wyjechał tylko co jednokonką, jak gdyby mu spieszno było, by mała za nim z tyłu pozostała, a mój gentleman jeszcze tu stoi, Dolores! dodała potem nagle spojrzawszy na swą przyjaciółkę z wyrazem na pół drwiącym i na pół poważnym, — to nie to! Co to za kawaler?

Z obawy by się nie spotkać z zuchwałym wzrokiem Wiktora, podeszła donna Dolores bliżej ku oknu z boku, tak że mogła spojrzeć w podwórze nie będąc widzianą. Ale uspokoiła się spostrzegłszy znajdującą się tam postać; to nie był Wiktor. Zapewniwszy się w ten sposób szerzej rozsunęła firanki. W tej chwili tajemniczy jeździec oowrócił się — i zajrzała prosto w ciemne oczy pana Hamlina. Natychmiast zapuściła nazad firankę i powróciła do swej przyjaciółki.

— Nie znam go — rzekła.

— Doprawdy, Dolores?

— Tak jest, Marjo!

— No, wierzę ci. W takim razie muszę przystać na to, że jest on tu z mego powodu.

Donna Dolores uśmiechnęła się.

— No i cóż? zapytała wyzywająco.

— No i cóż! odrzekła pani Sepulvida na pół zmięszana i zadowolona.

— Nowość! dodała donna Dolores.

— A... tak! rzekła pani Sepulvida z miną drwiącą i zamyśloną. Nakoniec wszedł.

— Czy tak? zapytała donna Dolores poważnie wpatrując się w swą przyjaciółkę.

— Tak. Dziś znowu tam był.

— I pytał się o ciebie, ciągnęła donna Dolores dalej, otwierając swój wachlarz i odwracając twarz ku oknu.

— Pytał się.

— I powiedziałaś mu...

Pani Sepulvida podbiegła wesoło ku oknu i wyjrzała.

— Powiedziałam...

— Co.

— Nic! (C. d. n.)

KWIAT NENUFARU.

Gdzie ponury bór smereków
Ściele wieczny mrok wieczora.
Tam rozlewa się od wieków
Czarną głębią toń jeziora.

Jego ciemne fal oblicze
Jako przeszłość jest bezdenne —
Jako przyszłość tajemnicze,
Jak noc sama leży senne.

Nigdzie szmeru, nigdzie gwaru,
Cisze w niem i nad niem cisze;
Tylko kwiecie nenufaru
Bladą gwiazdą się kołysze.

Nenufary niebem drugiem
Drżą na wodnych fal głębinie,
Kiedy księżyc pasmem długiem
Swój promienny włos rozwinie.

Wówczas smutny blask miesiąca
O łodygi się roztrąca,
Nenufary kołem stoją,
I modlitwę szepcą swoją.

Rozłamany promień srebrny
Dźwięczy z cicha gasnąc w toni;
Jak świetlany dzwon podniebny
Na dobranoc falom dzwoni.

Zresztą żaden inną porą,
Dźwięk tu ciszy nie naruszy,
Zapatrzony na jezioro
Czuwa wiecznie anioł głuszy.

Jeśli czasem skrzydłem wionie,
By ku innej odbiedz stronie,
Wnet za smutnym tym aniołem
Nenufary kłonią czołem.

Blada barwa bledziej płonie,
Łzą opływa liść wilgotny,
Aż znów ku nim skrzydło wionie,
Aż powróci druh samotny.

Czasem dziwne jakieś tchnienie
Nadjeziorną przestrzeń wzdyma...
Dziwne, krótkie, jak westchnienie
Uśpionego gdzieś olbrzyma.

Niem powietrzne drżą obszary,
Wre ów cały świat zaklęty,

A nadbrzeżnych drzew konary
Cień rzucają w wód odmęty.

Znów jak pierwej nigdzie gwaru,
Cisze w fali, nad nią cisze,
Tylko kwiecie nenufaru
Bladą gwiazdą się kołysze...

Czar owiewa ustroń ową,
Z białych kwiatów patrzy lica,
W dnie każdego dziwów mową
Nakreślono: — Tajemnica.

Lwów d. 25 Stycznia 1877. *Iza.*

Przygody w Indjach

podróżnika

TOMASZA ANQUETIL.

Druga serja.

(*Ciąg dalszy.*)

Zwyczajem było na statku, że przekąska podawana w południe odbywała się bez ceremonji, a najczęściej każdy z osobna posilał się wedle upodobania. Natomiast do objadu występowano z całym przepychem przynależnym gubernatorowi prowincji, i komfortem właściwym Anglikom. Shabunder nie omieszkał stawić się na oznaczoną godzinę; z nadchodzącą nocą zjawił się otoczony rojem sług z zapalonemi pochodniami, i przez cały czas, jak długo z nami zabawiał, ludzie ci w dwóch szeregach ustawieni wzdłuż brzegu czekali jego powrotu.

Zasiedliśmy do stołu; rozmowa toczyła się ożywiona, przechodząc z jednego przedmiotu na drugi, aż nieznacznie wpadła na temat polowań. Shabunder zapytał o rezultat naszej porannej wyprawy. Odpowiedziano, żeśmy nie zdołali ubić żadnego gawiala, za to upolowaliśmy bawołu, który był jedyną naszą zdobyczą. Shabunder roześmiał się głośno.

— Co do nas — rzekł ironicznie — my nie zadajemy sobie z niemi tyle kłopotu, i oszczędzamy nabojów. Gdy się nam krokodyle naprzykrzą, mamy dwa sposoby pozbycia się tych paniczów. Albo bieżemy je w doły, które głęboko wybrane i pokrytę gałęźmi ukrywają jagnię, kozę, lub jakiekolwiek zwierzę hałaśliwe, albo też do drzew rosnących nad brzegiem, przymocowujemy łańcuch mający u końca wędkę z kawałkiem mięsa. Gdy połknie przynętę, rzadko bardzo by się uwolnił, wszelkie bowiem usiłowania po temu, powodują tylko głębsze wbijanie się haków w podniebienie.

W tej chwili weszli Józef i Lugle w galowych ubiorach; jeden z półmiskiem, na którym rumieniły się zraziki z gawiala kruche i świeżutkie, drugi w sosierkach podawał sos wonią zachęcający. Shabunder ciągnął poważnie swój wykład o sposobach łapania krokodyli, a nam powstrzymywany śmiech wykrzywiał usta. Półmisek obchodził od jednego do drugiego, każdy starał się okazać apetyt, aby Shabundera tem łatwiej zmylić, ale co było z tego wszystkiego najpocieszniejsze to, że ktokolwiek półgębkiem skosztował zrazików, znalazł je po pierwszym kęsie jeżeli niebardzo delikatnemi, to przynajmniej wybornie przyprawionemi; Shabunder nie dając się długo prosić, na skinienie gubernatora powtórzył porcję z apetytem. Dusiliśmy się od śmiechu.

— Jak widzę, zraziki z gawiala wybornie panu smakują — rzekł sir Artur Payr z flegmą. — Ej, ostrożnie z niestrawnością!

Na te słowa długo powstrzymywana wesołość wybuchła gwarno. Shabunder zdziwiony, w pierwszej chwili zaledwie mógł ukryć uczucie odrazy, ale jednocześnie stając się panem siebie, odrzekł z całą swobodą:

— Zrazy z krokodyla? mówisz sir, ależ ja znajduję, że są wyborne! Tylko, — rzekł po chwili — nie sądziłem dziś, że będę jeść gawiala, słysząc od panów, żeście żadnego nie zabili.

— Istotnie nasi myśliwi nie upolowali żadnego z widzianych potworów, tylko służący p. Anquetil byli zręczniejsi, lub może szczęśliwsi, odparł gubernator, poczem opowiedział całe zdarzenie, jako też sposób przyprawienia krokodyla według przepisu Józefa.

— Potrawa wyborna — odrzekł Shabunder niewychodząc z przybranej roli — i od dziś dnia z krokodyli, któreśmy pozostawiali na pastwę zwierząt, będziemy umieli lepszy robić użytek. Ty Luglé zabijając gawiala, i ty Józefie przyprawiając zrazy, zrobiliście mi wielką przysługę — oto wasza nagroda.

Po tych słowach obdarzył każdego garścią rupij. Trudno było zgrabniej wywiązać się z położenia.

Objad zbliżał się do deseru; gubernator zmieniając tok rozmowy oznajmił nam, że jutro odpłyniemy do Bassein, gdzie żeglując po odnogach Irawady dobijać będziemy do niektórych pomniejszych mieścin. Ponieważ jeszcze oczekuje depeszy, w której wicekról ma mu przysłać swoje rozporządzenia, odnoszące się do ekspedycji przeciwko Chinom, ukartowanej między Anglją a Francją, przeto dziś nic stanowczego nie może ułożyć co do planu podróży, i prosi Shabundera, aby jutro z uderzeniem dwunastej przyszedł z nim się porozumieć.

Depesze otrzymane nazajutrz były rzeczywiście tej treści, że czas naszej wycieczki musiał być skróconym. Sir Artur Payr postanowił przebiedz okręg prawego brzegu Irawady razem z sir Edwardsem, podczas gdy asesorowi wyznaczył część obwodu należącego do Rangun, gdzie zajęcia były mniejszej doniosłości i nie tak skomplikowane. Objazd gubernatora miał trwać cztery do pięciu dni, poczem statek dopłynąwszy do Pyahpung, miał zabrać asesora i minąwszy kawałek morza, wpłynąć na rzekę Rangun, aby żeglując w górę dostawić nas na miejsce przeznaczenia.

Ponieważ była to pierwsza w tym rodzaju wycieczka, jaką robił asesor, gubernator prosił mnie, bym mu zechciał służyć za mentora w tej podróży. Wprawdzie życzyłem sobie bardzo przebiedz część Pegu, przerzniętą rzeką Bassein, i zwidzić wybrzeża dotykające przylądka Negrais, gdzie ma być piękny połów muszli perłowych i korali; ale z drugiej strony projekt gubernatora nastręczał mi wiele chwil przyjemnych, a że była to niejako oznaka zaufania ze strony sir Artura, zgodziłem się więc z jego życzeniem bez najmniejszych trudności. Tylko dla Shabundera powzięty projekt miał drażliwą stronę. Nie mogło mu przypaść do gustu kontrolowanie przez sir Edwards'a w czasie jego nieobecności niektórych źródeł jego dochodów, lecz gdy rzeczy nie można już było odmienić, zrobił więc jak ja, to jest zgodził się ze swym losem. A gdy usłyszał, że pani Anquetil także nam towarzyszy, w czem widział przyjemność dla swojej żony, i że Józef z nami się zabiera, z czego zamyślał wyciągnąć nie jedną korzyść, był już całkiem zadowolony.

Nazajutrz, jednocześnie z parostatkiem, który szumiąc i dymiąc skierował się na koryto rzeki Pe-ah-me-lah, wypływaliśmy na łodzi krajowej konstrukcji, zwanej *proo:* Shabunder, asesor, dwóch marynarzy angielskich, moja żona, ja, i służba nasza. Kilka godzin minęło spokojnej żeglugi, dopiero koło południa odpływ morza porwał nas z niesłychaną szybkością. Lecieliśmy jak strzała: drzewa, pagody, domy przelatywały niby pędzone niewidomą siłą; dostaliśmy zawrotu głowy, oddech tamowało nam w piersiach. Wioślarze pomimo krętego biegu Irawady kierowali łodzią z niesłychaną zręcznością; trzeba prawdziwie dokazywać sztuki, aby nie dostać się na mielizny, na których przy silnym prądzie można osiąść bardzo niebezpiecznie. W dwóch godzinach przepłynęliśmy znaczną przestrzeń. W tem miejscu rzeka, chociaż jeszcze oddalona od morza o 10 mil, przybrała majestatyczny pozór, prowadząc swe wody korytem szerokiem 8 000 metrów. Brzegi jednostajnie płaskie wydały mi się monotonne, mniej piękne i urozmaicone, niż rzeki Rangun, tak ustrojonej w bogate świątynie. Opodal nowa odnoga odbiegała od głównego koryta, dziwną tworząc sprzeczność zwierciadlanym spokojem do gwałtownego biegu rzeki. Na nią skierowano nasze łodzie, i marynarze chwycili za wiosła.

— W pół godziny będziemy na miejscu! — zawołał Shabunder — a za kilka minut dowiedzą się w domu, że przybywamy. — Skinął ręką i duży dzwon rozległ się w przestrzeni; w dali odpowiedział mu drugi, potem trzeci, przesełając drogą telegrafu a raczej telefonji wieść w sposób, od niepamiętnych czasów używany w Indo-Chinach.

— Widzicie panowie tę wyspę — rzekł Shabunder zwracając się ku nam z nieopisanem uczuciem dumy. — Ojciec mój osiedlił się na niej i położył fundamenta naszego przemysłu, ja dzieło jego prowadzę dalej i udoskonalam, a syn mój będzie to samo robił po mojej śmierci....

— Syn pański! czy nie odjechał do Kalkuty? — zapytałem przypominając sobie wypowiedziany projekt przez Shabundera, podczas naszego pierwszego spotkania.

— Wiesz o tem Booghuy! A! prawda! przychodzi mi na myśl, mówiłem w tym przedmiocie z właścicielką sadzawki w Segagie, wszelako nie sądziłem, byś pan rozumiał po birmańsku. Teraz, gdyśmy się lepiej poznali i wzajem ocenili, będę otwarty. Tak jest, syn mój jest w Kalkucie. W tych dniach odebrałem od niego list pisany po angielsku; kazałem go sobie przetłumaczyć, bo chociaż mówię i rozumiem ten język, nie umiem nim pisać... Otóż pokazuje się, że chłopiec nie żartem chwyta się nauki. Chciałbym widzieć go członkiem wielkiego stowarzyszenia azjatyckiego; niechby Europejczykom wskazał bogactwa Birmanji, i korzyści jakie z nich wyciągnąć można, a Birmanów niech nauczy sposobu rywalizowania z wami panowie...

Ostatnie słowa wywołały lekki uśmiech na ustach asesora z pogardliwem wzruszeniem ramion. Shabunder udał, że nie uważał tego ruchu i ciągnął dalej:

— Oto moja posiadłość! granice jej nieregularnie zakreślone, żyzność gruntu i gatunek ziemi różnorodny. Natura produktów bardzo urozmaicona. Wyspa długości 9 do 10 mil, na 6 szerokości, jest odgraniczona od północy boczną odnogą rzeki Dallah, która łącznie z podziemnemi arterjami Irawady, tworzy Papalah Yaygyau, płynącą na zachód równolegle z główną rzeką, i z nią w końcu się łączy. Na wschodzie Dallah, od południa Kuaygyan Yaygau, nowe ramię oddzielające się od Dallahu, które później wylewa się w rzekę Irawady, i tworzy wespół z Papalah-Yaygyau szpic wyspy.

Patrzyliśmy przez szkła na dziwne ukształtowanie wyspy. Wsi nie było żadnej, tylko folwarki tu i owdzie rozstawione leżały przyparte do gruntów uprawnych. Drogi wytknięte regularnie łączyły je siecią komunikacyj, i okolały uchwycone w karby wody, które tworząc sadzawki, basseny i jeziora, miały z sobą łączność dla ułatwienia odpływu. W samem centrum wyspy wznosił się piękny dom mieszkalny w równem oddaleniu od dwóch rzek; budynki, ogrody i park rozścielały się w około, a linje gościńców biegły w różnych kierunkach do symetrycznie rozlokowanych dwunastu folwarków. Przed nami widać było ujście Papalah Yaygau do Irawady. Zanim dopłynęliśmy do miejsca, gdzie się rzeki łączą, boczny kanał wprowadził nas na wody, tworzące w przedłużeniu wielki basen wprost mieszkalnego domu. Dzwon znowu poruszony ozwał się głośnem uderzeniem, i Shabunder zabrał głos kończąc rozpoczęte objaśnienia.

— Liczne odnogi rzeki Irawady, wpadające do Dallah, lub przeciwnie te które wypływając z Dallah idą łączyć się z Irawadą, podpadają bardzo różnym warunkom. Raz wody rozdzielające się na wyżynie, biorą spadek mniej lub więcej pochyły, to znów w niżynach rozramienione płyną równym poziomem, skąd rozmaitość biegu, jednych szalony i niszczący, drugich spokojny i dobroczynny. W jednem miejscu z przepełnionego koryta występuje rzeka tworząc bagniste łany, w drugiem wydrążając głębokie koryta, podmula brzegi, odrywa kawały ziemi, nanosi warstwy mułu, i u końca zmienia kierunek, lub w coraz szaleńszy bieg wpadając, niesie zpienione wody, którym już nic nie zdoła się oprzeć. Otóż ażeby powstrzymywać wybryki wolnej natury, stawiam jej zapory, kanalizuję, robię nasypy, wydrążam rozkopy, niskie brzegi zabezpieczam w groble, i wznoszę szkarpy opancerzone palami, a na nich sadzę plantacje drzew, któremi wytykam drogi i które mię chronią od powodzi. Z każdego kawałka ziemi staram się wyciągnąć użytek, jaki dać może. Na szlaki nadbrzeżne, gdzie ziemia odświeżona powiewem morskim przyjmuje naniesione pierwiastki roślinne, sprowadziłem drzewa kokosowe, które tylekrotnie usiłowano zaaklimatyzować na naszych wybrzeżach. Miejsca, gdzie piasek mielisty, używany przez naszych rybaków do hodowli ryb, składający się z części glinkowato saletrzanych i alkalicznych, miejsca te ochroniłem od nadto obfitych wylewów, przez co zabezpieczyłem coroczne formacje solne. Tam gdzie grunt lekki i ustępujący na powierzchni, kazał domyślać się warstwy spodniej stałej i pozbawionej części wapiennych, wydrążona stosowna głębia wysypana cieńkim piaskiem i kamieniem czarnym, przyjęła wodę dając jej nieznaczny spadek, aby w porach gdy tego będzie potrzeba, można ją dwa lub trzy razy miesięcznie odprowadzać; w ten sposób został zaprowadzony kunsztowny staw ostryg perłowych. Na ławach zaś, między skalistemi bryłami i rozpadlinami, w których zdawało mi się rozpoznawać żelazo, siarkę i wapno, zasiałem ten wyrost wodny, zwany przez was koralem. Tą drogą usiłuję wskrzesić nasz przemysł, dziś zaniechany i grożący całkowitem obumarciem. Czy osiągnę cel zamierzony nie wiem, w każdym jednak razie mogę sobie śmiało powiedzieć, żem się nie cofnął przed żadną trudnością, tem bardziej, że w mojej mozolnej pracy wspierany byłem przez jednę tylko osobę, a tą jest żona moja. Poznasz ją pani — i tu się zwrócił w stronę mojej żony, — polubisz i mam nadzieję, że zaszczycisz swoją przyjaźnią, ona zasługuje na szacunek, jest dobra, silna w przeciwnościach, wytrwała i z poświęceniem, słowem taką, jaką ty jesteś pani.

Żona moja odpowiedziała w serdecznych wyrazach na kompliment Shabundera; ja zaś uścisnąłem mu dłoń, bo w tej chwili przedstawił mi się innym człowiekiem. Asesor jeden nie zdawał się podzielać naszego wzruszenia. W nim struna patrjotyczna nie wywołała oddźwięku, on nie widział w dziele pracy jak tylko interes przemysłowo handlowy, mniej lub więcej korzystny, na który kiedyś będzie można nałożyć podatek.... Oto co go zajmowało!

Kanał, którym płynęliśmy, był niejako drogą wjazdową do mieszkalnego domu. Z dwóch stron brzegów widać było w odstępach porzucane mosty z drzewa lekkie i ładne, jak je umieją budować Birmanie. Służyły one do utrzymania komunikacji na gościńcach przerzniętych kanałami, dozwalając jednocześnie wolne przejście różnej konstrukcji łodziom i szalupom. Dom zbudowany na małej wyżynie zbiegającej ku rzece, dawał rozległy widok na cały obszar wyspy, i nastręczał obok piękności krajobrazu, pożyteczny rzut oka dla doglądającego swych posiadłości gospodarza. Ze szczytu obserwatorjum, wznoszącego się nad budynkiem, można było śledzić ruch w administracji i dawać znaki regulujące czynność. Dom składał się z tułowu, dwóch równolegle i łączych oficyn z dziedzińcem obszernym we środku, i odznaczał się fasadą zdobną w potrójny dach wedle stylu birmańskiego. Weranda, na którą otwierały się drzwi sali recepcyjnej, odgraniczona była zgrabną balustradą od obszernej terasy, zkąd szerokie wschody prowadziły na piękny kobierzec zieloności, otoczony drzewami, a zaścielający spadek góry aż do samej przystani. U brzegu kanału przytwierdzone stały w dwóch odstępach, po parę łodzi, szalup, czółen, jedne do codziennego użytku, to znów przeznaczone na wielkie uroczystości. Nad niemi wzniesiony dach osłaniał od słotnych pór roku. (C. d. n.)

O potrzebie rozwoju przemysłu małego

czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

(Ciąg dalszy.)

W okolicy Krakowa, w Dębniku, Paczołtowicach i Czeray, znane są od dawna pokłady prześlicznych marmurów o najróżniejszych kolorach; w łomach tych było dawniej życie, a niejedna świątynia i zamek, ztamtąd brały swe potrzeby na pomniki i do ozdób architektonicznych; obecnie są eksploatowane te łomy tak nazwanym rabunkowym systemem, czem niszczymy ten prawdziwy skarb dla tamecznej okolicy. Tradycyjnie zaledwie wyrabiają nie liczni włościanie kamieniarze, niektóre drobnostki, jakoto: puszki na tytoń, przyciski, popielniczki i t. p. rzeczy, a czasami wykują jakiś nagrobek. Wszystko to jednak w tak pierwotnych kształtach, z taką nieznajomością rysunku jako też poczucia wszel-

kiego piękna, że rozwój tego przemysłu jest jakby żaden.

Zaprawdę, z trudnością można pojąć ten niepojęty letarg, w którem się znajdujemy. Cóż tu mówić o innych okolicach kraju, jeżeli takie miejscowości, jak Dębnik, Paczołtowice i Czerna, położone w dawnym wolnym okręgu krakowskim, u podnóża Wawelu, dotychczas nie zostały ocenione, i jeżeli przemysł wyrobów marmurowych chociażby jedynie dla drobnostek i fraszek, do tej chwili nie rozwinął się tam należycie. Jestem pewny, że gdyby ktokolwiek rozumiejąc tę gałąź przemysłu wziął ją szczerze i umiejętnie w swoje ręce, i urządził chociaż jeden tartak do rżnięcia płyt marmurowych w wszelkich potrzebnych rozmiarach i grubości, (o jakim już mówiłem przy alabastrach) przy wkładzie kilku tysięcy złr. nie tylko by dał pewny chleb kilkuset rodzinom, lecz sam zyskałby niemało. Szczególniej przy wyrobach marmurowych, tartak taki jest niezbędnym, albowiem nie tylko ułatwia najmozolniejszą i najniewdzięczniejszą pracę obróbki z grubego, ale zaoszczędza także materjał i najmniejszy odpadek dozwala zużytkować. Dla ułatwienia wyrobów marmurowych drobnych, weszły w użycie ręczne piłki cyrkularne, którym tak jak tokarniom nadaje się ruch za pomocą korby i koła zamachowego lub deptaka poruszanego jedną nogą. Urządzenie takiej piłki ręcznej kosztuje zaledwie kilkanaście złr. Każda tarcza czyli piłka cyrkularna da się do tego zastosować, byle tylko usunąć zęby. Nad tarczą umocowuje się naczynie napełnione wodą, z którego spływa na połączeniu marmuru z tarczą piłki nieustający promyk wody, grubości słomki.

Tartak taki, jak łatwo pojąć, obniża cenę wyrobów o jedną trzecią, a często o połowę. Od niedawnego czasu i u nas weszły w zwyczaj po kawiarniach, cukierniach i piwiarniach, stoliki marmurowe, które zdaleka są sprowadzane; otóż przez zastosowanie tartaków cena takich stolików nie byłaby wyższa jak od 5 — 10 złr. za sztukę. A jakież zastosowanie mogłyby znaleść forniery polerowane w stolarstwie.

Również dla ozdób archetektonicznych, tak zewnętrznych jak wewnętrznych, otworzyłoby się obszerne pole, gdyby marmur nie sięgał dotychczasowych cen idealnych.

Sprawy tej nie mogę dosyć gorąco polecić dobrze zasłużonemu krajowi p. Baranieckiemu, założycielowi muzeum przemysłowego w Krakowie. Głos jego powinien chociaż kilku ludzi dobrej woli zachęcić w tym kierunku, aby wziąwszy kilku młodych chłopców z Czerny, w Krakowie przysposobili ich tak, by później mogli być nauczycielami w odpowiednich gminach.

* * *

Po tem, co już powiedziałem o trzech odrębnych grupach kraju, mógłbym na marmurach zakończyć, ale widzę, że pominąłbym grupę czwartą, której jeszcze nie uwzględniłem. Do grupy tej zaliczam wyłącznie miasta, jak Kraków, Bochnię, Tarnów, Jarosław, Rzeszów, Przemyśl, Lwów, Brody, Tarnopol, Brzeżany, Buczacz, Czortków, Stanisławów, Kołomyję, Stryj, Drohobycz, Sambor, Sanok, Krosno, Duklę, Jasło, Gorlice, Biecz, Nowy Sącz, Wadowice, i kilka jeszcze innych. Miasta te, jako zbiorowe punkta znaczniejszej części kraju lub mniejszych okolic, zasługują na dział odrębny. Być może, że niejedna myśl poruszona przezemnie w poprzednich trzech grupach, spotka się z takiemi przeszkodami, że jeszcze na długo pozostanie mrzonką szczerych chęci, lecz za to w miastach, przy danych, które opieram na jakiem takiem otarciu się pracujących z rękodzielami, znajdziemy daleko mniej trudności, aby odpowiedni przemysł domowy wprowadzić na właściwe tory.

Przy tej sposobności poznamy, na jak zgubną drogę zaczyna wchodzić nasz przemysł miastowy, i dokąd nas może zaprowadzić.

Dopóki przywóz towarów zagranicznych odbywał się na osi, przemysł domowy, chociaż już znacznie i widocznie chylił się do upadku, mimo to główne jego gałęzie, jak np. stolarstwo, ślusarstwo, kowalstwo, rusznikarstwo, brązownictwo, mosiężnictwo, złotnictwo, siodlarstwo i wiele innych, koniecznych w codziennych potrzebach życia, chociaż zeszły z drogi postępu i rozkwitu, jako tako jeszcze istniały, oczekując z dnia na dzień lepszej doli i siły, któraby je podniosła do odpowiedniego stanowiska.

(C. d. n.)

Kronika paryska.

I.

Paryż — Styczeń 1877 r.

Pan Aleksander Parodi rodem ze Smyrny, Grek, chociaż włoskiego pochodzenia, wychowany zaś i osiadły we Francji, nie od lada czego rozpoczął karjerę literacką, bo od 5cio aktowej historycznej tragedji, którą wierszem napisał.

Eksploatacja patrjotycznych boleści narodu francuskiego, opłaciła się niedawno sowitem żniwem p. Henrykowi de Bornier, autorowi „Córki Rolanda". Nie dziw więc, że powodzenie jego zaoskomiło innych, tworząc całą szkołę naśladowców.

Pan Aleksander Parodi, aczkolwiek cudzoziemiec, stanął też w szeregach współubiegających się o te laury, oklaski zaś przyjmujące utwor jego dowodzą jak najlepiej, że zręcznie trafił w sedno, i nie pomylił się wcale w swojem obliczeniu. Nie mając tych samych, co publiczność tutejsza, racyj przyklaskiwania frazesom deklamatorskim, pochlebiającym dumie narodowej, doskonale kwalifikujemy się na bezstronnych sędziów, i jeśli pozwolicie, przypatrzymy się temu, co w niej rzeczywiście na trwałą, zasługuje pochwałę.

„Rzym zwycięzony" (Rome vaincue), według pana Parodi, to Rzym z czasów 2giej Punickiej wojny od 219go do 201go roku przed nar. Chr.; to Rzym z czasów Hanibala, z czasów bitw nad Trebją, nad Trazymeńskiem jeziorem pod Kannami. Pierwszy akt tragedji rozpoczyna się wieścią o tej ostatniej Rzymian porażce, wieścią o śmierci walecznego konsula Pawła Emiljusza, i o zbliżających się pod mury stolicy zwycięskich Kartagińczyków szeregach. Rzym znajduje się w położeniu podobnem do tego, jakie Paryż przebywał niedawno, gdy wieść o bitwie pod Sedanem i o wzięciu w niewolę cesarza, nad osłupiałą stolicą strasznym zahuczała gronem. Na ulicach tłumy ludzi, wystraszonych, lamentujących, niewiast, rozpuszczających coraz to gorsze wieści uciekinierów, załamujących bezsilne dłonie starców i t. d. i t. d. Zamęt, rozpacz i trwoga. Na scenę występuje Quintus Fabius Maximus, znany w historji pod nazwą Kunktatora. On jeden nie zwątpił w bledniejącą zapewne, lecz niezgasłą jeszcze gwiazdę Romy. Słysząc zgiełk i lamenty uliczne, przeciwko słabym występuje z ostrą satyrą. „By mieć prawo łzy wylewać, czyście już wylali wszystką krew waszą?" groźnym do nich przemawia głosem. „Bądźcie ludźmi serca a otrzymacie zbawienie! Rzym nie może być zwycięzonym! Niech nikt nie mówi o pokoju z wrogiem Niemasz zgody z Hanibalem! Pogromca dzisiaj, jutro będzie pogromionym!" i t. d. Łatwo zrozumieć, jakiem echem odzywać się musiały słowa podobne w sercach Francuzów, czujących żywo niedawne swe upokorzenie. Powtarzamy raz jeszcze, że byle grać dzisiaj na tej strunie, a talent ukaże się rzeczą zbyteczną. Rozgorączkowana publiczność traci zmysł krytyczny, i stare jak świat komunały, za nową i dobrą przyjmuje monetę.

Obok Fabjusza Kunktatora jawi się na scenie druga, wybitna postać arcykapłana Lucjusza. „Jeśli bogowie odwrócili od Romy zagniewaną twarz swoją" — wykrzykuje ten ostatni — to dla tego, że Rzymianie obojętnieją w wierze! Księgi Sybilli straszliwą wieszczą nam zbrodnię! Według ksiąg tych ołtarz Westy został splugawionym, i płomień jej pod innym nieczystym zagasł płomieniem. Dopóki to przestępstwo odkrytem i ukaranem nie zostanie, dopóty darmo myśleć o tryumfie nad Hanibalem, który będąc narzędziem kary niebieskiej, jedynie za pomocą przebłaganych Bogów zwycięzonym być może!" Nowa analogja z sytuacją Paryżan w posępnej pamięci 1870—1871ym roku. Liczni świadkowie tej epoki przypomną sobie, jak jenerał Trochu nakazywał publiczne modły do śtej. Genowefy, patronki miasta Paryża, której cudowna opieka miała odwrócić grożące stolicy pociski armat niemieckich. Nowa więc burza oklasków, ironicznych ze strony wolno-myślicieli, aprobatywnych ze strony tych widzów, którzy wierząc sami, radziby tą wiarą rozpłomienić serca wszystkich współbraci. Jeszcze więc jeden warunek powodzenia. Roznamiętniając patrjotyzm i trafiając w żyłkę religijną, sztuka może drwić z wymagań artyzmu, może być mierną, nawet złą pod względem przeprowadzenia charakterów, układu scen, formy i języka, a mimo to publiczność na ujemne strony nie zwróci uwagi i przyklaśnie płaskim lecz jej opinji pochlebiającym frazesom. Oto istotna racja przeważnej większości scenicznych tryumfów za dni naszych. Córka Fabjusza Kunktatora, Opimja jest Westalką, ale zdradza poprzysiężoną czystość czułym romansem z młodym trybunem Lentullus'em. Czy arcykapłan Lucjusz wie o tem, czy wyciągając na jaw tę sprawę, prywatnej jakiejś zemście, lub dzikiemu ulega fanatyzmowi, wolno domyślać się słuchaczom jak się im podoba. Fabjusz dowiedziawszy się o winie córki, aczkolwiek boleśnie dotknięty, nie śmie wdawać się w obronę potępionej i gdy Lucjusz podstępnie zapytuje: „Co ma czynić?" odpowiada mu hardym tonem: „Twój obowiązek!" Tem się kończy akt drugi, zawiązka dramatu, który już odtąd zmierza szybkim krokiem, ku łatwo przewidzianemu końcowi.

Wiadomo, że zakopanie żywcem w ziemi, było karą za tego rodzaju popełnione przez Westalki przestępstwa. Biednej Opimji zagraża więc los podobny. Darmo Lentullus wszystkie porusza sprężyny dla zbawienia kochanki. Czerni rzymskiej, rozjuszonej klęskami, i fanatyzowanej przez kapłanów, potrzeba ofiarnego baranka, któryby

za jej własne odpokutował przewiny. Zaślepiony miłością własną, nie zdolny przyznać się ze skruchą do popełnionych błędów, do niższości intelektualnej w stosunku do wroga, do braku serca na polu krwawych z nim zapasów, niezdolny naturalnym tym przyczynom gnębiącej siebie przypisać niedoli, lud ten, jak każdy lud bez wyjątku, woli tych przyczyn szukać gdzieś daleko w gniewie bogów, w zdradzie przywódców, lub w innych tym podobnych absurdach, rozgrzeszających ogół, a zwalających winę na jedną ofiarę. Oto myśl, którą według nas, panu Parodi podjąć i podkreślić należało. Dramat jego zaledie że się jej domyślać pozwala. Fałszywym w skutek tego staje się charakter Fabjusza Kunktatora. On, osobistość inteligentna, jedyny człowiek widzący rzeczy jasno; on, którego świadectwa historyków wytykają nam za typ chłodnej rozwagi, trzeźwego zastanowienia, słowem Fabjusz Kunktator niepowinien był dla okazji wypowiedzenia kilku frazesów, bić w bębenek fanatyzmu i ulegać opinji tak łatwo obłąkanego gminu. Jedno z dwojga: albo historja kłamie i był to sobie zwykły człowiek wierzący jak inni, że źródło zwycięstw Hanibalowskich leży w przeniewierstwie Opimji; lub historja prawdę mówi, a wtedy nie należało fałszować jej nadawaniem Kunktatorowi niezgodnego z podaniem charakteru fanatycznego Brutusa.

Jakeśmy rzekli wyżej, starania zrozpaczonego Lentullus'a, pełzną na niczem. Opimja skazana na śmierć okropną, staje nad brzegiem mającego ją żywcem pochłonąć grobu. Wtedy babka potępionej, ślepa staruszka Postumja (rola świetnie odegrana przez panią Sarę Bernhardt) prosi o pozwolenie uściskania biednej po raz ostatni; zbliża się do niej pod tym pozorem, i w celu oszczędzenia jej okropnych cierpień przedśmiertnych, ukrytym w rękawie przebija ją sztyletem. I kiedy trup nieszczęśliwej ofiary na zbroczoną krwią upada ziemię, wchodzi poseł radośną przynoszący wiadomość, iż Hanibal, który już tuż, tuż bezbronnej zagrażał stolicy, nagle nie wytłumaczonym jakimś zdjęty przestrachem, cofa się w nieładzie do Kapui, by tam w jej roskoszach czekać na zwycięskie ataki pokrzepionych na duchu Rzymian. Wieść tak pomyślna rozpogadza zasępione ludu czoła. Powietrze brzmi od okrzyków tryumfu. Czerń rozbiega się, niespodziewane w koło roznosząc nowiny, i nad trupem męczennicy zostaje tylko ślepa babka Postumja, w bezsilnej pogrążona rozpaczy. Tableau. Kurtyna zapada powoli. (Dok. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Roztrząsania i opowiadania historyczne przez Józefa Szujskiego. Kraków 1876.*)

Książka, o której mówić zamierzamy, jest przedrukiem historycznych prac p. Szujskiego umieszczanych w *Przeglądzie Polskim* od r. 1866 do 1870. Do ogłoszenia ich razem w osobnej książce skłoniła autora okoliczność, że *Przegląd Polski* rozchodzi się w niewielkiej liczbie egzemplarzy. Zobaczymy niebawem, że zawarte w tym zbiorze rozprawy zasługują na jak największe rozpowszechnienie między czytającą publicznością, autor więc ogłaszając je w jednej książce spełnił czyn pożyteczny. Spory, bo przeszło 400 stron obejmujący tom, zawiera dwanaście rozpraw: kilka opowiadań historycznych, opartych na archiwalnych badaniach i wyświecających nie jeden fakt mało dotychczas znany, drugą grupę stanowią prelekcje dla szerszej publiczności i recenzje różnych dzieł historycznych, nakoniec dwie rozprawy noszą na sobie charakter polityczno-historycznego studjum. — Zanim wyda się o jakiemś dziele stanowcze zdanie, należy nasamprzód obznajomić się dobrze z jego treścią, i my także idąc tym torem przejdziemy kolejno przynajmniej w głównych zarysach wszystkie zamieszczone w zbiorze p. Szujskiego rozprawy.

Pierwsza z nich zatytułowana „Stanisław Staszic, jako pisarz polityczny“ zawiera jedyny obszerniejszy rozbiór „Uwag nad życiem Jana Zamojskiego“ i „Przestróg dla Polski“ Staszica. Słusznie nazwał p. Sz. Staszica „patrjarchą demokracji“ polskiej i porównał pod względem wartości oba wymienione dzieła z „Contrat social“ Russa, który rewolucjoniści francuscy uważali za swój polityczno-społeczny katechizm. Podczas gdy Leszczyński i Konarski nieśmiało tylko kreślili plan reformy tonącej coraz głębiej w falach nierządu Rzeczy pospolitej, Staszic, człowiek z ludu sięgnął głębiej i podał radykalny projekt kuracji. Poprzednicy jego chcieli tylko gdzieniegdzie naprawić popsutą machinę państwową, on uważa za jedyny środek ratunku przebudować ją z gruntu. Staszic był pierwszy, który otwarcie wystąpił za usamowolnieniem ludu, a zdanie to poparł tak silnemi argumentami, że tylko zaślepienie kastowe mogło na nie obojętnem pozostać. Konieczności tego usamowolnienia dowodzi nie tylko za pomocą ogólnej zasady praw człowieka, ale także uważa je za koniecznie potrzebne dla ocalenia kraju i ekonomicznego jego rozwoju. Wobec sąsiednich potęg militarnych, Polska potrzebuje koniecznie silnie zorganizowanej stałej armji liczącej 300.000 ludzi. Stan szlachecki kontyngensu tego niedostarczy, należy więc lud powołać w jej szeregi. Większa część urodzajnej naszej ziemi leży odłogiem, a przyczyną tego jest opieszałość i niechęć do pracy włościan wynikająca z niewolniczego ich położenia. Człowiek wtedy tylko chętnie i pilnie pracuje, jeżeli to czyni dla siebie, w przeciwnym razie nigdy nie nabierze ochoty do pracy, która nie przynosi mu bezpośrednio żadnych korzyści. Argumenta te okazują nam w całej pełni bystry umysł Staszica, autor piszący dzisiaj za usamowolnieniem ludu musiałby tychże argumentów używać. Dla ducha czasu i licząc się z okolicznościami Staszyc robi dla konserwatystów pewne ustępstwa, bo jako mąż polityczny nie spuszcza nigdy z oka praktycznego zastosowania zasad. Sprawę miast, handlu i przemysłu, jak równie kwestję żydowską traktuje zarówno jasno i liberalnie. Polityczna jego reforma dąży głównie do ustalenia silnego rządu monarchicznego. Ciekawą jest rzeczą, jakie kształty reformatorski duch XVIII wieku przyjął w różnych krajach. We Francji skrystalił się on w republice, polscy patrjoci stali się gorliwymi rojalistami. Kierunek obu tych reformatorskich prądów był logicznym wynikiem historji obu krajów: despotyczne *l'état c'est moi* we Francji równie było zgubnem dla ludu i uciążliwem, jak polskie *liberum veto*, Francję sprowadził na kraj upadku ohydny despotyzm, objawiający się w rządach metres królewskich, w podziemiach Bastylli i *lettres de cachet*, Polska zaś upadła skutkiem wyuzdanej samowoli jednostek pewnego stanu. „Uwagi nad życiem Zamojskiego“ nie są systematycznym projektem reformy, poznać w nich można autodydakta, chwytającego bez systemu jeden przedmiot po drugim, tyle w nich jednak głębokich myśli, a przytem tyle miłości ojczyzny, a często porywającej, przypominającej najświetniejsze Zygmuntowskie czasy wymowy, że mało jest dzieł w naszej literaturze wytrzymujących z „Uwagami“ porównanie. Tytuł tego dzieła nie odpowiada zupełnie jego treści, autor użył tylko postaci wielkiego kanclerza, aby okazać, że nie zrywa z przeszłością, i projekt reformy wysuwa z czasów, gdy Polska była możną i szczęśliwą. Staszic wiedząc dobrze, że szlachta stanowiąca prawa, nie przyjmie uwag choćby najlepszych od plebejusza, wydał „Uwagi“ bezimiennie. Podane przez niego projekta stały się podstawą prac czteroletniego sejmu, a mało się kto domyślał, że wyszły one właściwie od nieznanego księdza, syna mieszczańskiego. W r. 1790 wydał Staszic „Przestrogi dla Polski,“ które właściwie są tylko szczerym i wymowniejszym wykładem „Uwag nad życiem Zamojskiego.“ W obu tych dziełach jest widoczny wpływ Andrzeja Zamojskiego, autora „Zbioru praw sądowych,“ u którego jako kapelan pozostawał. Najlepiej charakteryzują patrjotyzm i zmysł polityczny Staszica, często przez niego powtarzane słowa: „Pierwej życie — potem wygoda,“ poddajmy się pod jarzmo swojskiego despotyzmu, byleśmy bytu narodowego nie utracili. Gdy będziemy silni, pomyślemy o zrzuceniu jarzma. Jakże korzystnie różni się Staszic od tych naszych emigracyjnych dektrynerów, prawiących pierw o formie rządu, niż o uwolnieniu ojczyzny!

Pięknie napisany szkic „Maryna Mniszchówna i obaj Samozwańce“ jest zapewne wynikiem przedwstępnych studjów, do znanego dramatu p. Szujskiego, osnutego na ten sam temat. P. Szujski zbija w nim zdanie, jakoby Jezuici wprowadzili Dymitra na widownię i opiera się w tym względzie na współczesnych pamiętnikach. Według niego, Dymitra pierwszego dopiero po przybyciu jego do Krakowa poznali Jezuici. Zdaje się, że ta kwestja nie wyjdzie nigdy po za zakres podania, faktem jest jednak, czemu p. Szujski nie przeczy, że od czasu przybycia Dymitra do Krakowa, Jezuici zajęli się nim gorliwie i za ich to pewnie przedstawieniem, stolica Apostolska tak gorliwie popierała samozwańca, sądząc, że tenże posiadłszy tron Iwana Groźnego postara się o nawrócenie Rossji na katolicyzm. Hipotezą pozostanie również związek rokoszu Zebrzydowskiego z wyprawą Dymitra, zapatrywanie to jednak rzuca zupełnie nowe światło na ciekawe ówczesne stosunki. Czasy Dymitrów były ostatniemi, ażeby Polska bądź to podbiła Moskwę, bądź to złączyła się z nią w federacyjny związek. Chwila była bardzo sposobna, niestety minęła bez korzyści dla Polski, a to głównie wskutek niedołęztwa Zygmunta III, nieumiejącego odczuć tradycyjnej polityki Jagiellonów i Batorego wobec północnego sąsiada. U Zygmunta III zmysł polityczny zastępowały egoizm i fanatyzm, dwa czynniki najzgubniejsze w monarsze. Sumiennie pod względem historycznym, a zarazem z prawdziwym poetycznym polotem kreśli autor postać Maryny, tej polskiej szlachcianki grającej tak wybornie rolę carycy, kobiety dążącej bądź co bądź do władzy, nie pytając o środki. Była to niewiasta niepoślednia, a jej energja, odwaga i przebiegłość podziwienia godne. Słusznie można przypuszczać, że miała rozległe plany polityczne, i kto wie jakby obecnie wschód Europy wyglądał, gdyby się była utrzy-

mała na tronie. Rozprawa p. Sz. oprócz kilku ciekawych hipotez zawiera nowe drobne szczegóły co do pobytu Polaków w Moskwie razem z Dymitrem pierwszym i po śmierci jego. Jako dodatek umieszczony jest ustęp djarjusza o pobycie Polaków w Moskwie, którego tylko część wydrukował Karamzin w „Monumenta Russiae historica.“ Urywek ten sięga od 9 grudnia 1607 do 21 października 1608 roku. Pamiętnik ten znajduje się w zbiorze rękopisów bibljoteki Dzikowskiej hr. Tarnowskich. (C. d. n.)

Podróż na około ziemi.

Sprawozdanie z odczytów prof. dr. S. Syrskiego.

(*Ciąg dalszy*).

Rzeczka, która wymywa pieczarę Postojny jest z bardzo wielu względów interesującą. Przypatrzmy się całemu jej biegowi. Nazywa się ona Pjuką w miejscowem narzeczu słowiańskiem, a w podręcznikach geografji znaną jest pod nazwą Poiki. Przez ładną okolicę przepływa spokojnie aż do góry, w której się pieczara znajduje, tu skręca na bok, otacza część jej podnóża, majestatycznie wpada w głąb góry przez olbrzymią skalistą bramę i ginie gdzieś w czeluściach podziemnych. Dopiero po wejściu do groty przez inny boczny otwór, znajdujemy ją znowu płynącą w galerjach. Płynąc łódką, możemy dotrzeć w głąb skały około jednego kilometra. Później Pjuka znowu gdzieś się gubi. Mniej więcej o dwa kilometry wyżej ku północy, znajdujemy na powierzchni lejkowatą jamę, zarosłą krzakami. Spuściwszy się ostrożnie na dół, znajdujemy znowu naszą rzekę płynącą w skalistem korycie. Po tej wybrzeżu dość daleko możemy zajść w galerji podziemnej w jedną i drugą stronę. Po bliższem przypatrzeniu się jamie lejkowatej, przekonywamy się, iż powstała ona wskutek zapadnięcia się sklepienia tunelu, w którem Pjuka płynie. Rzeka nasza bieży dalej znowu pod ziemią i staje się dopiero później widoczną, gdy występuje, wezbrana wodami przypływem podziemnych z góry Planiny. W dolnym przebiegu łączy się Pjuka z Uncą i nareszcie jako Lublana (Laibach) wpada do Sawy.

Nad rzeką Lublaną leży miasto Lublana (Laibach) stolica Krainy. W okolicy tego miasta, na torfowisku, znaleziono resztki dawnych mieszkań nawodnych. Mieszkania te ciągnęły się wzdłuż wybrzeża jeziora, które się tu niegdyś znajdowało. Na palach kładziono poprzeczki w kształcie rusztu, a na tem stawiano małe domki. Osady takie połączone były mostem z wybrzeżem. Do wnętrza tych domków wchodzilo się przez drzwi otwierające się jak klapy od góry na dół. Resztki pokarmów tam znalezione dają nam przybliżone pojęcie o zajęciach, którym się ci ludzie pierwotnie oddawali. Znaleziono tam olbrzymie masy łupin orzechowych, resztki ryb, czaszkę dzika, sarny, a nawet niedźwiedzia, co jest stosunkowo bardzo rzadkiem. Większość znalezionych narzędzi była z rogu jeleniego, mało bardzo z kamienia. Oprócz tych rzeczy, wydobyto garnuszki z gliny palonej upiększone rysunkami.

Skoro idąc lub jadąc ku południowi przez wyżyny Karstu, zbliżymy się do Duino, przed oczyma naszemi roztacza się obraz czarowny; mamy przed sobą błękitny o czystych wodach Adryatyk. Wybrzeża wschodnie tego morza, w Istrji i Dalmacji są dalszym ciągiem Karstu. Spotykamy tu zupełnie te same ukształtowania powierzchni, te same lejkowate otwory, pieczary i rzeki podziemne. Jeśli się mapie przypatrzymy, to odrazu uderzy nam w oczy, iż szeregi lejkowatych zagłębień i wzniesienia mają kierunek spadku wód do morza; nawet wyspy są w tym kierunku wydłużone. Na wyspie Cherso znajduje się jezioro wody słodkiej 90 metrów głębokie, które w czasie ulewnych deszczów podnosi się o 13 metrów nad poziom morza, co dowodzi jego komunikacji podziemnej z lądem stałym. Z drugiej strony na południe od Zary znajdujemy jezioro wody słonej. Zestawiwszy te wszystkie fakta, przyjdziemy do przekonania, iż cała zatoka Quarnero i cieśnimy morskie między wyspami powstały wskutek zapadnięcia się grot podziemnych wymytych przez rzeki spływające z głębi lądu. Ponieważ te rzeki i teraz bez przerwy działają, więc prawdopodobnie te zapadnięcia i dalej będą się powtarzać. Morze więc Adrjatyckie powoli wdziera się na ląd stały i jego wybrzeże wschodnie coraz się dalej posuwa ku wschodowi.

Z wybrzeżem zachodniem rzecz się ma zupełnie inaczej; jest ono niskie, piaszczyste i jak nam wiele faktów wykazuje, posuwa się coraz bardziej ku wschodowi. Niektóre miasta, które dawniej były nad morzem, jak np. Adrya (ztąd morze Adrjatyckie), Rawenna, Akwileja, są dziś znacznie od brzegu oddalone. Sprawcą tych przemian jest rzeka Po (Pad). W powolnym swym biegu osadza muł ciągle, i to w większych ilościach niż Dunaj. Niegdyś morze sięgało aż do podnóża Alp, a jezioro Comoi Garda były fiordami. Mamy na to bardzo wiele dowodów. I tak np. na wzgórzach Euganejskich znajdują się wygasłe wulkany, a jak wiadomo, wulkany znajdują się tylko niedaleko od morza.

Obecna dolina Padu jest prawdziwym ogrodem Europy; dolina ta wydaje trzy zbiory jednocześnie. Na ziemi rośnie przenica lub też inne zboże, rzędami na tych polach drzewa morwowe, a pomiędzy niemi wiją się girlandy winnych latorośli. Koryto Padu jest ujęte potężnemi tamami w karby, i powodzie przy nadzwyczajnych wezbraniach są stosunkowo dość rzadkie. Podanie Cuviera jakoby koryto Padu znajdowało wyżej od dachów miasta Ferrary jest mylne i woda tylko w czasie gwałtownych bardzo wezbrań podnosi się do wysokości pierwszego piętra.

Lombardja w ogóle przypomina nam bardzo wielką równinę Chińską, która jest również poprzerzynana kanałami, między któremi znajdują się bujne pola ryżowe.

Jak to wykazaliśmy, morze Adrjatyckie posuwa się ku wschodowi. Czynnikiem, głównym działaczem tych zmian jest samo morze. Paruje ono, tworzą się chmury, woda wyparowana z morza upada w kształcie deszczu, i służy wtedy do zasilania rzek, które z jednej strony wyżłobiają groty, podziemia, i niszczą wybrzeże, z drugiej nanoszą piaski. Do tej czynności przyczyniają się nie mało i dzieci morza, zwierzęta morskie. W czasie cieplym żywią się one mułem przez Pad naniesionym, a gdy nastąpią zimna, zwierzęta cofają się do głębi, tam umierają i z ich skorup tworzą się co rok nowe warstwy.

Wskutek tych różnych przyczyn powodujących zmianę głębokości morza Adrjatyckiego, dziś między Tryjestem a Wenecją jest zaledwie 30 metrów głębokości. Jeżeli tak dalej pójdzie, to z czasem z Tryjestu do Wenecji przechodzić będzie można suchą nogą, a „królowa mórz“ znajdzie się na suchym lądzie. (C. d. n.)

Z Torunia.

Toruń w Styczniu 1877.

(Nieco ze wspomnień o Toruniu: Muzeum Towarzystwa Naukowego Toruńskiego. Niemieckie muzeum imienia Kopernika. Marzenia o dawnych czasach a położenie dzisiejsze. Dom, w którym się urodził sławny astronom.)

Wszyscy, badający objawy społecznego i umysłowego ruchu w polskich prowincjach państwa pruskiego, wiedzą zapewne o tym pocieszającym fakcie, że w Toruniu 20 Listopada r. z. nastąpiło otwarcie muzeum, założonego staraniem kilku gorliwych o narodowe sprawy obywateli. Zadaniem tego muzeum jest gromadzić, przeważnie w zakres archeologji miejscowej prowincji wchodzące zabytki, ażeby ułatwić badaczom studja nad przed-historyczną epoką i ludnością, która niegdyś te strony zamieszkiwała.

Dział też wykopalisk pod względem liczby i ważności zajmuje w muzeum pierwsze miejsce; szczególniej zaś interesującemi są, rzadko jeszcze w innych muzeach napotykane, symbolowe i twarzowe urny, których w tem muzeum znajduje się już dziewięć; oprócz nich zapełnia muzealne szafy kollekcja urn pierwotniejszych, żalników, ozdób brązowych, narzędzi kamiennych i okrzesków, w znacznej części przez p. G. Ossewskiego w jego archeologicznych wycieczkach zebranych, jako też z darów członkow i innych osób pochodzących. Tuż obok urn są wystawione plany sytuacyjne grobowisk z odznaczeniem znalezionych w nich urn, rysowane przez p. O.; tę nowość po raz pierwszy zdarzyło mi się widzieć w naszem Toruńskiem muzeum; zdaje mi się ona bardzo korzystną dla nauki archeologji, nie mniej korzystną jak powstające dopiero mapy archeologiczne. Po za tą grupą wykopalisk zasługuje na uwagę kollekcja minerałów i skał, w której znawca dostrzeże nieznane nawet dotąd a z Wołynia pochodzące gatunki; wreszcie okazy paleontologiczne, mały zbiorek numizmatów, kilka starych dokumentów miejscowego znaczenia i muzealnych pamiątek ostatnich wieków dopełniają całości muzeum; jest także i zawiązek bibljoteki, składający się z kilkudziesięciu dzieł, ofiarowanych przez p. Żupańskiego.

Muzeum w ogóle nie jest jeszcze wielkie, bo i istnienie jego zaledwie na miesiące liczyć można; jednakże to co jest, wymownie swiadczy, że w krótkim czasie zrobiono wiele; spodziewać się należy, że z postępem czasu muzeum wzrastać będzie, tak gorliwością jego członków, jako też pomocą i ofiarnością publiczności polskiej, która dbając zawsze o rozwój naszych naukowych instytucyj, nie zapomni, sądzę, o wzbogacaniu darami i tego nowopowstałego muzeum, tak jak nie zapomina o uzupełnianiu zbiorów Towarzystwa przyjaciół nauk w Poznaniu, Gabinetu archeologicznego w Krakowie i innych.

Muzeum znajduje się na ulicy Białej Nr. 70 w domu p. Giełdzińskiego. Trzy nie wielkie salki, ozdobione popiersiami naszych znakomitości, starożytnemi portretami i obrazami, między innemi i kartonem p. Jaroszyńskiego, przedstawiającym podpisanie Toruńskiego pokoju, dają mu wygodne pomieszczenie; okazy wszystkie porozstawiane i rozłożone bardzo starannie i naukowo systematycznie, i każdy z nich zaopatrzony objaśniającą kartką; urządzenie nie wykwintne lecz skromne, porządek za to i czystość niezwyczajna; znać, że muzeum jest przedmiotem wielkiej pieczołowitości ze strony osób, którym nadzór nad niem jest powierzony. Prawdziwą satysfakcją jest z przesiąkłego niemczyzną miasta, jakoby na oazę na pustyni, wejść do tego przybytku nauki, gdzie można znaleść umysłową rozrywkę, nie ujrzeć wrażego oblicza i głos ludzki tylko usłyszeć; radzę każdemu z przybywających do Torunia nie pozbawiać się tej przyjemności, lecz odwidzić muzeum; dozna w niem przyjemnego wrażenia, jakiego ja doznałem, i z uprzejmością będzie przyjęty.

Łaskawy Czytelniku! jeżeli zacząłeś czytać niniejsze pismo moje, zechciej czytać je i dalej. Towarzysząc mi tym sposobem, choć myślą tylko, zwidzisz razem ze mną niektóre jeszcze osobliwości Torunia, dowiesz się wielce interesujących szczegółów. Idę obejrzeć niemieckie muzeum imienia Kopernika, mieszczące się we wspaniałym ratuszu, zbudowanym, wedle twierdzenia prof. J. Łepkowskiego, w stylu baltycko-wiślanym. Obejrzawszy posąg Kopernika i gmach ratuszowy, zachodzę do kasztelana czyli odźwiernego i pytam go: Gdzie mieszka kustosz muzeum? „Ja jestem kustoszem,“ odrzekł dygnitarz, podnosząc zatabaczony nos do góry i nie zdejmując czapki, z obawy zapewne zaziębienia swojej dygnitarskiej łysiny. Przyznam się, że dosyć szeroko rozwartemi oczami spojrzałem na niego

z zadziwienia, jakim cudem można w jednej osobie piastować tak różne godności, jak odźwiernego ratusza i kustosza muzeum? Lecz udając, że nie uważam tego istnie za cud, ale za rzecz zupełnie naturalną, zaproponowałem mu pokazanie mi muzeum. Dygnitarz, odmawiając pacierz, wziął z kołka klucze i wiódł mię gdzieś aż pod strych po wschodach, po których nie życzyłbym chodzić nawet najgorszemu nieprzyjacielowi, aż wreszcie *per varias casus per tot discrimina rerum* bardzo szczęśliwie, to jest nie złamawszy nogi ani jednego choćby tylko żebra, dotarliśmy do muzeum.... Skrzypnął żardzewiały zamek... weszliśmy. (C. d. n.)

POGADANKI.

XX.

W regestrach Izby handlowo-przemysłowej, zostającej pod specjalną opieką JO. księcia Karnawału, zapisano firmę: *Czas* et Comp. Miło mi donieść, że cichymi uczestnikami tej spółki, objętymi wieloznaczącą formułką: „et Comp.“ są: śp. *Głos Wolny* i chyląca się ku równie chwalebnemu zgonowi *Kanikuła Codzienna*. Celem firmy jest rozpuszczenie „zasady“ polskiej, za pomocą „kwasu“ redaktorskiego w sól gorzką przeistoczonej, w płynie słowiańsko-wodnistym. Na reducie strażackiej proces ten chemiczny wyłuszczonym będzie przez jednę z dorastających znakomitości naszych naukowych, w myśl „Ostatniej poczty“ *Czasu* z dn. 26 Stycznia rb. Sens moralny całego tego żartu zapustnego, skierowanego na oko przeciw hr. W. Platerowi, naperfumowany jest w połowie *au cuir de Russie*, a w drugiej połowie *à l'eau de Lourdes*, i pachnie też w istocie tak pięknie, jak gdyby go umoczono w jakim rozczynie „wolnogłosowym.“ Na samo wspomnienie o tem, że skargi polskie mogą stać się głośniejszemi w świecie, rozczyn zabarwia się czarno biało-czerwonym, wiernopoddańczym kolorem carosławnym.

* * *

Pisma codzienne *polskie*, wychodzące w Galicji, są w tem niemiłem, czy miłem położeniu, że nie mogą polemizować z wszystkiemi latorośłami tej nowowyrastającej, pseudosłowackiej prasy; zostaje im tylko jeden *Czas*, którego siwe włosy każą zapominać o grzechach, ciężących na jego sumieniu, i rozmawiać z nim jakby z jaką powagą. O innych publikacjach tego samego kroju i ducha przyzwoitość zaledwie wspominać pozwala, wspomnienie zaś w piśmie politycznem miałoby doniosłość uznania za stronę wojującą, strony, która powinna raz na zawsze... zostać na stronie. Wolność druku sprawia to, że pierwszy lepszy dzieciak, albo zwichnięty w karjerze swojej djurnista magistratualny, redaguje i rezonuje jak mu się podoba, bez poparcia szerszego w kraju, ale zawsze na podstawie jakiegoś chwilowego materjalnego poparcia, które po kilku lub kilkunastu miesiącach urywa się, i na cmentarzu poblicystycznym zostawia — znowu jednego papierowego trupa. Po niejednych już zapustach redaktorskich, mieliśmy taki smutny Popielec.

* * *

W tym roku, zwykły kalendarzowy Popielec zdaje się, że przypadł jeszcze na Trzech króli. Jesteśmy jakby wśród wielkiego postu, o ile karnawał objawia się w ruchu publicznym. Pierwszy zaraz bal udał się nie świetnie; technicy zaś rozmyślają w tej chwili, czy nie mają zaniechać projektowanej zabawy. Jedno tylko Towarzystwo muzyczne potrafi może utrzymać dawną tradycję, na jednę noc ożywić nas jak za dawnych, dobrych czasów. Do cichych i smutnych pozorów tegorocznego sezonu przyczynia się nie mało zaniechanie redut, na których wprawdzie nigdy nikt się nie bawił, ale które są przecież zawsze oficjalną cechą karnawału. Są to wszelako tylko pozory. Bawią się ludzie w resursach, na piknikach, w domach prywatnych, tańczą, kochają się, pojedynkują, a nawet gdzieniegdzie żenią się, jak gdyby „w Gdańsku płaciła pszenica,“ jak gdyby *anglosy* stały po 450, a *baubanki* nigdy nie doznały szwanku. Mało życia na powierzchni, ale tem więcej w głębi, na dnie społeczeństwa, to stało się ponoś hasłem... na karnawał. Ojczyzna oczekuje przejęcia się synów swoich i córek tą zasadą raz na zawsze, na każdem miejscu i o każdej porze!

* * *

Synowie i córki naszej ojczyzny, umiejący geografję, niechaj nie robią złego użytku z anegdoty, którą tu zamierzam powtórzyć, a mianowicie, niechaj nie biorą z niej asumptu do mniejszej na przyszłość pilności w naukach, na tej zasadzie, że niektórzy wielcy ludzie należący do mądrych bardzo narodów, nie wielkie poczynili postępy w tej dyscyplinie, tak potrzebnej dyplomatom. Francuzi pobici są zupełnie na polu nieumiejętności ziemioznawstwa, pobici przez Anglików. Minister sekretarz stanu dla Indyj, pełnomocnik na konferencji w Stambule, i par trójjedynego królestwa, margr. Salisbury, przedstawiał wielkiemu wezyrowi, że Czarnogóra potrzebuje koniecznie portu na morzu Adrjatyckiem. Midhat-pasza chciał obrócić rzecz w żart niewinny, i napomknął, że nie miałby nic przeciw temu, gdyby księciu Nikicie odstąpiono zatokę Kotarską. Szlachetny lord usłyszawszy te słowa, chwycił za kapelusz, pojechał do jenerała Ignatiewa, zwołał wszystkich dyplomatów i z tryumfującą miną obwieścił im, jak wielką koncesję udało mu się uzyskać w prostej pogadance z tym samym Turkiem, który najenergiczniejszym naleganiom oficjalnym przeciwstawiał nieugięte muzułmańskie: *bilmem* (tj. non possumus, albo raczej: ne rozumiju.) Ambasadorowie otworzyli szeroko usta i oczy, a jeden z nich począł niespokojnie suwać się na fotelu. Lord Salisbury, widząc ogólne osłupienie, powtórzył raz jeszcze, i to bardzo kategorycznie, że W. Porta zgadza się na ustąpienie Zatoki Kotarskiej Czarnogórcom. Tego już było za wiele owemu zaniepokojonemu dyplomacie, i zerwał się z miejsca protestując jak najmocniej przeciw takiej aneksji. Każdy domyśla się, że dyplomatą tym był hr. Zichy. Markiz zaperzył się, i chciał już pomawiać Austrję o to, że ona uporem swoim przeszkadza załatwieniu kwestji wschodniej, gdy sir Elliot w najkrytyczniejszej chwili pociągnął go za tużurek i szepnął mu do ucha, że Turcji nie trudno zgodzić się na odstąpienie Czarnogórcom Zatoki Kotarskiej, skoro ta, jest własnością Austrji. Milord myślał z początku, że biorą go na fundusz, ale połączonym usiłowaniom konferencji powiodło się przekonać go, że właściwym żartownisiem był tym razem nieokrzesany Muzułmanin.

Francuzi starają się wszakże gorliwie o to, ażeby nie pozostać w tyle za tak świetnemi przykładami. W teatrze *Odéon* mają przedstawiać sztukę, napisaną przez jakiegoś literata paryskiego, który zasłyszał coś o wojnach kozacko-polskich i ułożył je w dramat, odgrywający się ponoś gdzieś na pograniczu Bucharji, nie daleko Kamieńca Podolskiego, nad jeziorem Ladogą, przy ujściu Wisły do morza Egejskiego. Dramat ten nosi tytuł: *l'Hetman*. Tytuł nie podobał się dyrektorowi, ale doradcy, których pytał, znajdowali go owszem wcale szczęśliwie dobranym. Dla pewności, dyrektor udaje się do Dumasa. — Hm, hm, rzecze autor „Damy z Kameljami“ — *l'Hetman*, to brzmi nie źle, ale, uważasz pan, trudno wymagać od publiczności, by każdy z pomiędzy niej wiedział, że istnieje prowincja moskiewska, która nazywa się *l'Hetman*.

To rozstrzygnęło kwestję i dramat będzie się nazywał: *Les Kozaks de l'Ukraine*. Któryś z dramaturgów paryskich upatrzył, że trzy *k* zawarte w tych słowach, nadadzą sztuce koloryt lokalny.

Czemże jest nasz *Szczutek*, wraz ze swoim dodatkiem, w obec takiego nieuctwa? Ot sobie zwykłym, prostym, małym niedouczkiem galicyjskim.

Jan Lam.

BIBLIOGRAFJA.

Niemiecka.

— Oskar Peschel. Sein Leben und Schaffen von Friedrich von Hellwald. Mit dem photographischen Bildnisse Peschels. Augsburg, Lampart u. Co. 1876.

Dla wielu z naszych czytelników będzie rzeczą zajmującą, dowiedzieć się o losach człowieka, który w naszych czasach jako geograf zajął tak zaszczytne stanowisko. Biografja niniejsza zajmuje nas tem bardziej, że skreślona piórem Hellwalda, który zajął miejsce Peschla w redakcji czasopisma „Ausland.“ Według tej historji podamy niektóre bardziej interesujące daty odnoszące się do życia Peschla. Oskar Ferdynand P. był synem oficera, który zajmował stanowisko nauczyciela w szkole kadetów w Dreznie. Oskar urodził się 17 Marca 1826. W roku 14 oddano go do kupca na lat trzy. Ten zawód nie podobał się Peschlowi. Gdy pewnego razu ofiarowano mu grosz, jako tak zwany „trynkgeld,“ oburzył się do tego stopnia, że rodzicom wręcz oświadczył, iż porzuci stan kupiecki i weźmie się do nauki. Po trzech latach natężonej nauki zdał maturę w Dreznie i udał się w 19 r. na uniwersytet do Heidelberga, później zaś do Lipska, gdzie poświęcił się naukom prawniczym. Otrzymawszy w Lipsku 1848 r. dyplom doktorski, udał się do Berlina, chcąc poświęcić się profesurze. Losy jednak zrządziły inaczej. Już jako słuchacz praw okazywał Peschel wielkie zamiłowanie do zawodu publicystycznego. Będąc teraz w Berlinie pisywał liczne korespondencje do „Augsburger Allg. Zeitung.“ Później wstąpiwszy do składu redakcji wspomnianej gazety, udał się wkrótce jako korespondent tejże do Wiednia. Tak przetrwał lat 6. Przez nagłą śmierć Dra. Widenmana została opróżnioną posada redaktora „Auslandu.“ Z pomiędzy 40 kompetentów otrzymał tę posadę Peschel i oddał się z całym zapałem naukom, którym „Ausland“ jest poświęcony. Pracując przez lat 16 jako redaktor tego pisma, przyswoił sobie te nauki, które w następstwie postawiły go na czele uczonych geografów. Liczne artykuły w „Auslandzie“ podniosły wysoko imię Peschla. W roku 1858 wystąpił pierwszy raz z większą pracą: „Geschichte des Zeitalters der Entdeckungen.“ Dzieło to zaczął pisać będąc jeszcze w redakcji „Allgemaine Zeitung“ i to w samym początku. Siedm lat upłynęło zanim Peschel wystąpił z nową pracą pt. „Geschichte der Erdkunde.“ W r. 1870 wydał: „Neue Probleme der vergleichenden Erdkunde,“ a w r. 1874 Etnologję czyli naukę ludów, która Peschla postawiła w rzędzie pierwszych etnografów tak samo, jak poprzednie zjednały mu pierwsze stanowisko w rzędzie historyków i geografów. Kto wie, co to jest niewola redakcyjna, kto wie, że Peschel zapełniał 16 — 20 szpalt tygodniowo

swemi własnemi pracami, co w przybliżeniu wynosi przeszło 50 arkuszy rocznie, ten dopiero pojąć jest w stanie, jak wielkie Peschel miał zamiłowanie do pracy, kiedy prócz tego pracował nad dziełami, do których tomami robić musiał wyciągi i studja. To też i uległ tej wielkiej a natężonej pracy. Już w r. 1864 nastąpiło rozdrażnienie nerwowe, które się potęgowało coraz bardziej, zwłaszcza gdy w r. 1871 został mianowany profesorem geografji w Lipsku. Wykłady, wypracowywane z całą sumiennością, jakoteż działalność literacka zniszczyły do reszty jego siły. Peschel sam nie łudził się ani chwili co do swego stanu. Umarł 31 Sierpnia 1875 r.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Listy z kraju.

Ruiny zamku Melsztyńskiego.

Kraj nasz był niegdyś zasiany grodami i zamczyskami, które wznoszono w celu zabezpieczenia się od napadów nieprzyjaciół. Dziś w ich miejscu spotykamy gruzy, kryjące niejednokrotnie nader cenne rzeczy, tak pod względem archeologicznym, jak materjalnym.

Obojętność jednak nasza zostawia wszystko pod rumowiskiem, skutkiem czego nauka nie mało na tem traci. Nieraz potrzebaby bardzo małego kosztu, a byle nieco dobrych chęci, tajniki zgliszczy niejednego zamczyska zostałyby wyjaśnione, i w dodatku znalazłyby się rozmaite rzeczy mające mniejszą lub większą wartość.

Do takich licznych ruin zamkowych należą ruiny Melsztynu, w powiecie brzeskim, kolo miasteczka Zakliczyna. Melsztyn wznosi się na stromej górze, obrośniętej dziś lasem, pod którą w małej odległości płynie Dunajec. Całość z przyległemi majątkami należy do hr. Lanckorońskich.

Z zamku, który dawniej był bardzo obronnym, zostały trzy ściany murowanej wieży i resztki zamkowych murów, w których są ślady otworów, służących do wyrzucania pocisków. Mury są z naturalnych budowane kamieni, a górne części wieży z cegieł. W oknach wieżowych widać jeszcze ramy kamienne.

Zamek ten posiada bardzo wiele piwnic, z których kilka odkryto przypadkowym sposobem przez otwory w sklepieniu. W jednej z tych piwnic, dziś częścią zawalonej gruzami, znaleziono niegdyś beczkę wina nadzwyczaj starego, co dowodzi, że gruzy nie były badane, i zamek prawdopodobnie nagle runął, będąc zamieszkałym. Na wierzchu tej piwnicy są wielkie wklęśnięcia, które z tąd pochodzą, że w takiem miejscu sklepienie się zapadło, o czem można się przekonać z wewnątrz, gdyż teraz odkryło się okno wiodące do piwnicy, a przedtem był tylko otwór przez sklepienie, którędy wydobyto wino, i który zasypał się później, przez większe oberwanie się murów i ziemi. Takich wklęśnięć na zewnątrz jest bardzo wiele, które jasno dowodzą, że w tych miejscach są inne piwnice. To twierdzenie upewnia drganie ziemi przy silnych uderzeniach, i pewien rodzaj odgłosu stłumionego. Pomiędzy temi gruzami stoi domostwo wieśniaka, a na podwórzu jest otwór ogrodzony i przykryty dla bezpieczeństwa domowych zwierząt i małych dzieci. Otwór ten uchodził za studnię, jednakże odkryto, że prowadzi przez sklepienie do piwnicy, o czem wiedziano już dawniej. (Dok. nast.)

Literatura sztuka i nauka.

— „Fromont junior et Risler senior," pięcioaktowy dramat pp. Daudet i Belot, przerobiony z premiowanej przez Akademję francuską powieści Daudeta, obiegłszy wszystkie europejskie sceny, doczekał się u nas w tym tygodniu dwukrotnego przedstawienia. Tematem tej sztuki jest niewierność małżeńska, ulubiony temat francuskich dramaturgów. Przedmiot to nie nowy, ale opracowany w sposób oryginalny. Charaktery świeże i opracowane sumiennie nadają dramatowi pp. Daudet i Belot głęboką wartość. Główną postacią w dramacie jest żona Rislera, Sydonja. Charakter tej kobiety, wyrafinowanej kokietki, zimnej i żyjącej tylko dla znaczenia i pieniędzy, wykończony z dokładnością wzbudzającą podziwienie. Pod względem budowy wiele można zarzucić tej sztuce i ekspozycja jest zbyt długą, co w ogóle jest wadą wszystkich dramatów przerobionych z powieści. Za to w ostatnich aktach akcja nabiera życia i dramatycznej siły. Obok wymienionych zalet dramat ten zaleca się moralną tendencją. Cenny to nabytek dla naszego repertoara ubogiego w dobre dramaty. Przedstawienie wypadłoby wcale dobrze, gdyby rolę Sydonji nie oddano pani Zimajer. Rola ta leży daleko po za zakresem jej talentu. P. Ładnowski (Riesler) szczególnie w akcie czwartym i piątym grał z wysokim polotem, dzielnie mu sekundował p. Woleński (Fromont). Zupełnie z nowej strony uchwyconą postać starego, chorującego na manję genjusza aktora, przedstawił pan Dobrzański. Grę jego pełną przesady, uważać musimy za chybioną... Zresztą przedstawienie nie pozostawiało wiele do życzenia.

— Kluger Władysław, Krakowianin, obecnie inżynier rządowy i profesor hydrauliki w Limie, wydał świeżo w Paryżu nakładem hr. Działyńskiego obszerne swe dzieło p. t. „Wykład wytrzymałości materjałów i stałości budowli" (Paryż 1876 in 8-o). Jestto niejako tom drugi i dopełnienie dzieła, poprzednio przez tegoż autora wydanego p. t. „Wykład hydrauliki wraz z teorją machin wodnych" (Paryż 1873). Wiele prac Klugera należących do zakresu nauk ścisłych, znajduje się w „Pamiętnikach nauk ścisłych" w Paryżu wydawanych.

— „Der freie Beobachter", wychodzący w Nürnberdze, pisze w pierwszym tegorocznym numerze: „Dr Wychowski, który zaczął edukację we Lwowie, a skończył w Wiedniu, był profesorem w Akademji francuskiej (Nancy) i korespondentem jednej z wielkich gazet angielskich. Tęsknota za krajem spowodowała go po kilku latach do powrotu do Galicji, gdzie go jeden z magnatów polskich zaangażował jako guwernera. Bawi on obecnie z dzieckiem i babką tegoż w Dreznie. Dr Wychowski jest może ostatni z potomków znanego w dziejach hetmana Ukrainy i wojewody kijowskiego Jana Wychowskiego. Jego poezje, które teraz wyszły w języku niemieckim w Dreznie, są pełne dowcipu i satyry. Inne znajdujemy często ostatniemi czasy w pismach niemieckich".

— Zajmujący proces toczy się w paryskim sądzie handlowym. Dyrektor teatru lirycznego zaangażował śpiewaczkę p. Marję Sass specjalnie do opery Donizettego „Lucrezia Borggia. Za każdy występ p. Sass miała otrzymać 1.000 franków, a gdyby która z osób kontrahujących nie dotrzymała kontraktu, powinna była na rzecz drugiej zapłacić tytułem grzywny 20.000 franków. P. Vizentini nie wiedział jednak, że „Lucrezia Borggia" nie ma francuskiego libretta, ponieważ Wiktor Hugo nigdy nie chciał zezwolić, aby jego dzieła były kaleczone i wypaczane w librettach operowych. Wielki poeta jest na tym punkcie niezłomnym od lat pięćdziesięciu. Ponieważ pani Sass w Théâtre-Lyrique nie mogła śpiewać po francusku, więc sprawa ta poszła do sądu, gdyż śpiewaczka żąda wynagrodzenia 20.000 fr. P. Vizentini w ostatniej jeszcze chwili udawał się do Wiktora Hugo z prośbą, aby wyjątkowo zmienił swoje postanowienie, lecz usiłowania jego były daremne. Wielki poeta odpowiedział: non possumus. Trybunał handlowy wyda wyrok dopiero za dni piętnaście.

Offenbach przygotowuje dwie nowe operetki dla teatru Variétés „Doktora Ox" (libretto osnute na tle znanej powiastki Juljusz Verne), a dla Folies-Dramatiques drugą p. t.: „Foire Saint Laurent".

— Sardou oddał już artystom teatru Porte-Saint-Martin, najnowszy swój utwor sceniczny p. t.: „Exilés".

Konkurs dramatyczny w Krakowie.

— Dnia 23. stycznia, odbyło się w Krakowie pierwsze posiedzenie komisji konkursu dramatycznego krakowskiego na rok 1877. Obecni pp. Estreicher, Kłobukowski, hr. Raczyński, Podwyszyński, Lucjan Siemieński, Sokołowski, hr. Artur Potocki, Koźmian. Nadesłano ogółem sztuk dwadzieścia pięć: „Wycieczka do Beskid i Pokutnik w kasynie" w 1) akcie prozą; 2) „Wojewoda Krystyn" dramat w 4 aktach prozą; 3) „Litwa" obraz dramatyczny z życia ludu w 4 aktach wierszem; 4) „Szał ludu" w 5 aktach, prozą; 5) „Tyran Warszawy" dramat w 4 aktach prozą; 6) „Gwiazda Wschodnia" poemat, wierszem; komedje: 7) „Dewotki" 4 akta, prozą; 8) „Na wyżynach" 4 akta, prozą; 9) „Bratnie dusze" 3 akta, prozą; 10) „Pan Damazy" 4 akta, prozą; 11) „Sprzymierzeńcy" 4 akta, prozą; 12) „Piękne słówka" 4 akta, prozą; 13) „Pająk" 5 aktów, prozą; 14) „Asylum Polskie" 5 aktów, wierszem; 15) „Nadzieje" 5 aktów, prozą; 16) „Księżna bez dachu" 5 aktów, prozą; 17) „Potęga miłości" 4 akta, prozą; 18) „Komedja bez tytułu" 3 akta, prozą; 19) „Drugi raz" 1 akt, prozą; 30) „Praktyczni" 2 akta, prozą; 21) „Spadkobiercy" 4 akta, prozą; 22) Potrzeby Wieku" 3 akta, prozą; 23) „Żona i jej rywalka" 3 akta, prozą; 24) „Tulipan" 3 akta, prozą; 25) „Z duchem czasu" 4 akta, prozą. Komisja odsunęła od konkursu dramata „Wojewoda Krystyn" i „Tyran Warszawy", jako nie kwalifikujące się do tegorocznego konkursu, który przypuszcza tylko komedje i sztuki ludowe. Komisja odsunęła także „Gwiazdę Wschodu", jako poemat liryczny, a nie sceniczny utwór. Następnie komisja podzieliła się na trzy sekcje, a te rozebrały między siebie pozostałe 22 utworów, w celu przeczytania ich i orzeczenia, które zalecić należy do wspólnego czytania. Przyszłe posiedzenie naznaczonem zostało na godzinę 3-cią w niedzielę 28 b. m.

Przyczynek do krajoznawstwa.

— Romer przy układaniu mapy geognostycznej Szlązka Górnego, pogranicznych z nim okolic Królestwa Polskiego i Galicji austryjackiej, wykazuje, iż warstwy brunatnej i białej jury (1), poczynając od najstarszych, ułożyły się w południowo-zachodniej stronie Królestwa następującym porządkiem: A. Jura brunatna 1. Piaski i piaskowce żelaziste: prawy brzeg Prosny w okolicach na południe osady Praszka, w powiecie Wieluńskim; Nowa wieś na zachód od Żarek do Koziegłów w powiecie Będzińskim. 2 Gliny szare z pokładami żelaziaka gliniastego; pomiędzy Ogrodzieńcem a Pankami, Ogrodzieńcem a Żarkami i na lewym brzegu Warty w powiecie Będzińskim; na wielu punktach pomiędzy Częstochową i Wieluniem. 3. Szare piaskowce wapienne: około Kłobucka w powiecie Częstochowskim i w okolicy na południe od Wielunia położonej. B. Jura biała. 4. Białe margle wapienne: stok częstochowskiej Jasnej Góry; okolice Ogrodzieńca, Kromołowa, Włodowic, Żarek i pod Wieluniem. 5. Szarsze massowe czyli spodni wapień skalisty: okolice między Olkuszem i Częstochową. 6. Białe massowe wapienie zbite, z wydzielinami bulwiastemi czarnego krzemienia, albo rogowca, oraz pokładami ciennmo uwarstwionych, zbitych i marglowych kamieni: okolica pomiędzy Olsztynem a Częstochową. 7. Biało uwarstwione wapienie z pokładami krzemionkowego i po części w rogowiec przechodzącego wapienia: okolica pomiędzy Pilicą a Mstowem położona w dolinie Warty na wschód od Częstochowy. 8. Biały massowy wapień zbity, zwany neryneowy: okolice Korzecka pod Chęcinami. 9. Żółtawo-białe wapienie wolityczne, albo zbite i do łupków litograficznych z Solenhofenu bardzo podobne: okolice Sulejewa w powiatach Piotrkowskim i Opoczyńskim, Bolmina na zachód od Chęcin w pow. Kieleckim i wsi Korytnicy w pow: Jędrzejowskim.

Odkrycia.

— Gazeta „Wiek" donosi, że w miejscowości Ossala, położonej w powiecie sandomierskim, odbywają się poszukiwania soli. Właściciel tych dóbr zawiązał z zarządem wschodniego okręgu górniczego umowę, celem dalszego prowadzenia rozpoczętych robót i eksploatacji soli. Umowa rzeczona podobno przedstawioną już została do zatwierdzenia Ministrowi dóbr Państwa. Świder zapuszczony zeszłego roku w ziemię, jest już obecnie zagłębiony na 170 łokci, i według zdania kompetentnych ma do przebicia pokład bezsolnego jeszcze 10 do 15 łokci. Z zewnętrznych oznak, jakiemi są wydzielające się w znacznej ilości pary solne, osiadające na powierzchni ziemi w drobnym skrystalizowanym pyle, wnosić można o bliskości pokładu solnego, trudno jednak przed ukończeniem poszukiwań, coś powiedzieć o rezultacie.

— Zajmujące odkrycie archeologiczne zrobili angielscy turyści w Nubii między pierwszą a drugą kataraktą Nilu. Obok wielkiej świątyni Ibsambulu, gdzie można widzieć cztery kolosalne posągi Ramsesa II, spostrzegli podróżnicy p. Mac Callam i pani Amalja Edwards w skale otwór, zatkany piaskiem. Sprzątnęli piasek i znaleźli wejście do sanktuarjum Ramsesa II, które było w skale wykute i dotychczas nie odkryte. Po oczyszczeniu wnętrza z pyłu nagromadzonego od tysiąca lat, odkopjowano napisy i malowidła znajdujące się na ścianach, i na podstawie tych kopij oświadczył sławny badacz angielski Dr Birch, że odkryto miejsce, gdzie znajdowała się biblioteka wielkiej świątyni Ramsesa II, „Sesostrisa" greckich historyków.

ROZMAITOŚCI.

— Drogi makadamizowane budowane są z tego samego materjału, jak nasze szosy publiczne, z tą tylko różnicą, że Mac Adam, wynalazca systemu pierwszych, używał do dolnego pokładu mniejszych kamieni, niżeli to zazwyczaj się dzieje. Wspomniany system, zastosowany do dróg, tak dobroczynny dla zwierząt pociągowych, został wynaleziony przez niejakiego Johna Loudon'a Mac Adama, który urodził się w r. 1756 w Szkocji, i mając 14 lat popłynął do Nowego Jorku. Tam pozostał aż do r. 1780, poczem powrócił do ojczyzny. Zamianowany administratorem dróg w Ayrshire, rozpoczął swoje studja nad budową dróg, które podówczas były w nadzwyczaj złym stanie. Podczas wojny Anglji z Francją piastował urząd ważny przy trenie transportowym, co spowodowało go jeszcze więcej do kontynuowania rozpoczętych nad konstrukcją dróg studjów. Na własny koszt objechał przestrzenie ogółem 30000 mil, co mu zajęło pięć lat czasu i wydał z własnej kieszeni 5000 funtów. W roku 1811 podał Izbie niższej obszerne sprawozdanie, w którem był również wypracowany szkic jego planu dla poprawienia dróg bitych. W cztery lata później wyznaczono mu jeden dystrykt dla urządzenia próby. Rozpoczynając roboty natrafił na twardą opozycję ze strony starych budowniczych drogowych i farmerów, przez których pola droga prowadzić miała. Mimo to przełamał wszystkie trudności, a w kilka lat później miała Anglja 700 mil znakomitych szos makadamizowanych. Mac Adam sam był człowiekiem rzadkiej bezinteresowności. Nie tylko że wzbraniał się przyjąć jakiekolwiek wynagrodzenie, odmawiając nawet ofiarowaną mu godność szlachecką, ale nawet nie robił sam nigdy kontraktu o założenie lub poprawienie jakiejś szosy. Również nie przyjmował korzystnych ofert na przedsiębranie budowy dróg w obcych krajach, czynionych mu niejednokrotnie. Umarł w r. 1836.

— W Paryżu przedsięwezmą niebawem nadzwyczaj interesowną próbę lekarską. Oto członkowie akademji lekarskich będą mogli czuć a raczej widzieć uderzenia pulsów kilku chorych za pomocą telegrafu. Próby te będą tylko powtórzeniem takiego doświadczenia, robionego w ubiegłym miesiącu w Salem w północnej Ameryce. Znakomity lekarz tamtejszy, Dr. Upham, dał widzieć słuchaczom swoim uderzenia pulsów pacjentów, którzy o 14 mil ztamtąd leżeli w miejskim szpitalu bostońskim. Drut telegraficzny łączył szpital z salą wykładową, i w tym samym czasie, gdy prąd elektryczny przynosił automatycznie uderzenia serc, uwidoczniano je z pomocą umyślnego przyrządu, wibrującem światłem magnezyjnem na ścianie sali. Gdy następnie przyłożono aparat do arterji zdrowego człowieka, promień światła wibrował sześćdziesiąt razy na minutę. Przy próbie z innym, zdrowym wprawdzie, ale nadzwyczaj nerwowym, wibracje powtórzyły się dziewięćdziesiąt razy na minutę.

— W Sycylji rozwija obecnie policja ogromną energję w śledzeniu i wytępieniu szeroko rozgałęzionego rozbójnictwa, i połączonej z niem samowoli co do okupów za wziętych przez opryszków jeńców, co wszystko nazywa się tam maffią. Pewien dziennik włoski tak pisze o tem: W jakich już sferach wyspy, nie podlegających bynajmniej podejrzeniu, zbrodniarze pomocników swoich liczą, świadczy znowu fakt, który zdarzył się 6 grudnia w Palermo, tak opisany przez tamtejsze pismo „Statuto:" Wieczorem 6 grudnia zawiadomiono policję, że o 8 godzinie (w trzy godziny później) mieć będzie miejsce na Foro Italico oddanie okupu, skutkiem groźnego listu, który otrzymał pewien pensjonowany i zamożny oficer. Mimo późnej pory otoczono natychmiast naznaczone miejsce liczną strażą, a jeden z urzędników policji stanął sam na czele obławy. Około ósmej godziny ujrzano przyzwoicie ubraną osobę, która siedząc dotychczas na jednej z ławek, podniosła się z niej patrząc równocześnie na zegarek. Po chwili nieznajomy ów ruszył w kierunku Porta Felice, a gdy przyszedł w pobliże oznaczonego miejsca, widziano, jak oglądał się przezornie w około, a potem za czemś szukał pod jedną z ławek spacerowych. Widocznie nic tam nie znalazł, bo wnet potem wrócił na pierwej zajmowane miejsce. Z uderzeniem ósmej godziny przyszedł do wspomnianej wyżej ławki, nadchodząc od Porta Felice, drugi nieznajomy w podeszłym już wieku, usiadł na niej, i po chwili zchyliwszy się położył pod nią na ziemi jakiś pakiecik. Po chwili podniósł się i odszedł. Indywiduum zagadkowe, które poprzednio jak wspomnieliśmy, robiło poszukiwania pod tą ławką, wróciło tu teraz ponownie, i jak pierwej oglądając się trwożliwie usiadło na ławce. Wnet potem zchylił się, pochwycił leżący tam pakiecik, i nie patrząc, co on zawierał, ruszył do miasta. Atoli w mgnieniu oka policjanci otoczyli go, i urzędnik zażądał kategorycznie, by udał się za nim do policji. Tam okazało się ku niemałemu zdziwieniu wszystkich, że aresztowany był nie mniej ni więcej jak pensjonowanym pułkownikiem, niejakim Cavaliere Giovanni Bassi.

— Najpiękniejsze w całej Europie koronki posiada Izabella, matka króla hiszpańskiego. Wartość ich obliczają na kilka miljonów franków, a tworzą one podobno prawdziwe muzeum rzadkości koronkowych. Są tam dotyczące wyroby wszelkiego rodzaju, ze wszystkich krajów i czasów. Najdroższym egzemplarzem ma być suknia z koronek alençońskich, ceniona 100000 franków. Królowa angielska Wiktorja posiada znowu cały skarbiec szalów kaszmirowych. Między niemi posiada wspaniałe indyjskie, które wymagały dwudziestu lat, zanim zostały sporządzone, a dziś już wcale nie bywają tkane, gdyż zaginęła nawet tajemnicza tradycja ich fabrykacji. Kilka szalów są przetykane złotemi nitkami, a naszywane perłami i djamentami. Wartość całego zbioru podsją także na kilka miljonów; dodać przytem trzeba, że królowa nigdy ich nie używa, co więcej, od śmierci swojego męża ubiera się zawsze nadzwyczaj skromnie. Najpyszniejsze szmaragdy posiada cesarzowa austrjacka, najpiękniejsze rubiny wielka księżna saksońsko wajmarska, niezrównane turkusy i perły moskiewska rodzina cesarska, a angielska rodzina królewska najdroższe szafiry.

— We francuskim tygodniku „La chasse illustrée," opowiada niejaki pan P. Kauffman niezwykły wypadek, który w każdym razie jest fenomenem w dziejach łowieckich. W ostatnich dniach listopada zrobił mu pewien inżynier tuloński propozycję, by z nim i fachowym nurkiem odbył podmorską wycieczkę do skał podwodnych koło wysp Hyères. Gdy zgodził się na to, zabrali w oznaczonym czasie na czółno aparaty nurkowe Denayroupe'a, i popłynęli na miejsce, gdzie spuścić się mieli w otchłań morską. Aparat nurkowy Denayroupe'a jest kauczukowy, w urządzeniu swem nadzwyczaj pojedynczy, i wogólnym zarysie podobny do innych tego rodzaju, znajomych powszechnie przyrządów. Na nogach mają olowiane podeszwy, aby nurzający się tem prędzej opadł na dno morza. Gdy sprawozdawca tej wycieczki spuścił się w hermetycznem tem ubraniu do wody, usłyszał głośny szmer, który go zrazu przestraszył, bo sądził, że woda przedarła się przez aparat, podczas gdy w rzeczywistości szmer ten sprawiało powietrze, wypierane z wody ciężarem jego własnym. Co do patrzenia, rozróżniał w koło przedmioty dość dokładnie, atoli tak w pionowym jak poziomym kierunku widokrąg jego był bardzo szczupły: o kilka kroków przed nim poczynała się już nieprzejrzana ciemnia. Również zmysł dotykania był u niego dziwnie usposobiony. Nie czuł prawie, że stanął na dnie morskiem, zdawało mu się, że ciało jego nie ma najmniejszego nawet ciężaru, stąpał jak chmura, posuwał się naprzód, płynął stojąco, słowem robić mógł bez zmęczenia dowolne obroty. Posłuchajmy dalej, co on sam opowiada w tej mierze: Inżynier i nurek zbliżyli się do mnie. Ażeby módz rozmawiać i porozumiewać się, trzymaliśmy nasze hełmy blisko siebie, przyczem kruszec przewodził nam doskonale dźwięk naszych głosów. Postanowiliśmy udać się w kierunku skał, na które spodziewaliśmy się dostać łatwo z pomocą naszych aparatów. Przez rury umyślne daliśmy naszym ludziom na powierzchni morza znak, by płynęli za nami. Z wolna kroczyliśmy po miękim i jednostajnym gruncie piaskowym. Światło słońca przedzierając się do nas przez gruby pokład wody, miało barwę cudownego szmaragdu. Co krok spotykaliśmy w wielkiej ilości prześliczne muszle przeróżnych kształtów. Wiedzieć należy, że głębia wynosiła w tem miejscu 18 metrów. Niebawem ujrzeliśmy przed sobą skały, zasłane polipami, jak kobiercem różnobarwnym. Rośliny i kwiaty, jakich nigdzie na lądzie a nie mniej i w akwarjach nie widziałem, jedne zielone, czerwone, inne błękitne lub żółte, wyrastały z długich szpar skalnych, po nad nami splecione powoje wodne tworzyły formalną sieć zieloną. Niezliczone ryby, przeróżnych kształtów i wielkości, zbliżały się do nas ciekawie, i umykały spiesznie jak we śnie. Oczarowany byłem tym widokiem wspaniałym. Szliśmy tak z ćwierć godziny, gdy nagle nurek, który szedł przodem, zatrzymał się i dał nam znak, byśmy przystanęli. Potem zbliżył się do nas i rzekł: „Piła." Dreszcz trwogi przebiegł mię od stóp do głowy na tę wiadomość, gdyż siła i groźna złośliwość tego potworu są ogólnie wiadome, a ten, który się ku nam zbliżał, był co najmniej dwa metry długi, podczas gdy sama piła jego mierzyła niemal jeden metr. Naradziwszy się przez chwilę, dobyliśmy nasze noże, i ze stanowczością oczekiwaliśmy niebezpiecznego nieprzyjaciela, tem bardziej gdy o ucieczce nie było już ani mowy. Co do mnie pochwyciłem jedną ręką nóż mój z kurczowem wytężeniem, a drugą położyłem mimowoli na piersi. Potwór zaś, snać niezdecydowany zrazu, co dalej począć, zdawał się początkowo chcieć oddalić. Po chwili zatrzymał się, patrzał na nas przenikliwie swojemi małemi ciemnemi oczyma, a potem okrążając nas małem półkołem, puścił się ku nam z impetem. Źle jednak obliczył ten manewr, i to też było jego zgubą. Nurek, który bacznie śledził jego każde poruszenie, widząc, że ku niemu nadpływa, odskoczył na stronę, silną ręką pochwycił za piłę ryby, wymierzoną nań, i ugodził nożem w bok jej głowy, zadając głęboką ranę. Krew popłynęła obfitą strugą, woda jednak zabierała ją rychło. Drugi i trzeci raz nóż nurka zatopił się w ciele potworu, który zwijał sobą z ogromną siłą, przytrzymywany żylastą ręką silnego nurka; myśmy jednak przyskoczyli co żywo, i zaczęliśmy kłuć potwora w głowę, brzuch, gdzie tylko się udało. Siły jego opadały widocznie z każdą chwilą, nareszcie cięcie noża, które mu szeroko brzuch rozpruło, położyło koniec zażartej walce. Martwe cielsko wywróciło się na grzbiet i zwolna podpływało na powierzchnię wody. Nie będąc usposobionymi na tego rodzaju drugie spotkanie, które mogło fatalniej, jak tym razem, zakończyć się dla nas, wydobyliśmy się na pokład, gdzie zdjąwszy aparat, pomagaliśmy wyciągnąć trupa z wody. Nie wiem, czy mięso piły jest do jedzenia smaczne, majtkowie jednak nasi zabrali się do ćwiertowania olbrzymiej ryby. Skórę z niej zabrał inżynier, kazał ją wypchać, i pomieścił w swojej pracowni na pamiątkę tego niezwykłego zdarzenia."

— Jeden z dzienników berlińskich pisze: Skutkiem częstych napaści na przechodzące ulicami miasta kobiety, utworzył się, jak nam powiadają, klub kobiecy pod nazwiskiem „Aegide," którego członkowie obowiązani są nie wychodzić nigdy bez broni na ulicę. Za wzór takiej broni wybrano mały sztylecik, jaki zwykle noszą u pasa kobiety japońskie, podobny z powierzchowności do wachlarza. Otóż taki kaiken — tak się nazywa ów mały sztylecik — który oglądać można obecnie na wystawie japońskiej, będzie odtąd nierozdzielnym towarzyszem tej części berlińskich pań, które przystąpią do klubu „Aegide." Dawniej noszono wachlarze na kształt sztyletów, dziś nosić będą sztylety nakształt wachlarzy. Jeden to więcej rys obecnych czasów, i dowód na nierycerskość mężczyzn, którzy nawet bezbronnym kobietom na ulicy zagrażają napaścią brutalną." Być łatwo może, że doniesienie to jest li żartem wymyślonym, w każdym jednak razie cechuje dostatecznie smutne stosunki, panujące w stolicy Wszech-Niemiec.

Od Redakcji.

P. w Myślenicach. Otrzymaliśmy, a dziękując za już, prosimy o pamięć na przyszłość.

Treść Nr. 21.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).